

BERTOLT BRECHT

Przełożył ANDRZEJ WIRTH

Strach i nędza Trzeciej Rzeszy

W roku 1938 w Wydawnictwie Malika w Pradze drukowano książkę, której z powodu hitlerowskiej napaści na Czechosłowację nie było danym trafić do czytelników. Książka ta, opatrzona tytułem „Strach i nędza Trzeciej Rzeszy” zawierała sceny dramatyczne z życia Reichu, powiązane poetycką relacją narratora. Autorem tak skonstruowanej sztuki, opartej o wiadomości prasowe i informacje naocznych świadków, był przebywający na wygnaniu pisarz niemiecki Bertolt Brecht. Następnego wydania doczekała się książka dopiero w roku 1944 w Ameryce, w przekładzie angielskim, zatytułowanym „The private Life of the Master

Race”. Pod tym tytułem wyszły w Nowym Jorku i w San Francisco premiery sztuki, inscenizowane przy współudziale autora. Sztuka Brechta powstała w okresie najgłębszego kryzysu walki nielegalnej w Niemczech. Ruch podziemny był rozbity i zdeorganizowany; partia komunistyczna nie mogła utrzymać centralnego kierownictwa w kraju. „To najstraszniejsze, co może w ogóle naród spotkać — pisała Anna Seghers — to miało się teraz stać z nami: chciano przegrodzić pokolenia „ziemią niczyją”, przez którą nigdy już nie będą mogły przelinać doświadczenia przeszłości. Jeśli ktoś walczy i pada, a następny podnosi sztandar, wal-

czy i też pada... jest to naturalny bieg wypadków, gdyż nic w życiu nie dostaje się darmo. Jeśli jednak nikt nie chce przejąć sztandaru, bo nie zna zupełnie jego znaczenia”. W tych najcięższych latach rozległ się głos poety. Zabrzmiiała w nim bezgraniczna nienawiść do rzeczywistych wrogów narodu i ludzkości, lecz także i wiara, że są ręce, które podejmą sztandar. Historia okazała, że nie była to wiara złudna. W przekładzie poniższym pokazuję poetycką część nieznaną u nas sztuki — plesn chóru i głos narratora.

Andrzej Wirth

Z mroku wylania się przy dźwiękach barbarzyńskiej muzyki marszowej wielki drogowoskaz z napisem DO POLSKI. Obok wóz pancerny. Na nim dwunastu, szesnastu żołnierzy, trzymających między kolanami karabiny. Twarze żołnierzy białe jak kreda.

Chór załogi wozu pancernego

Gdy Wódz ręką mocną jak żelazo
w Niemczech nowy zaprowadził ład,
nam rozkazał nowy porządek
ponieść na bagnietach w świat.

Był sierpień — posłuszny władzy
runeliśmy w kurzu drogę
na stare polskie miasto,
by rzucić je władcom do stóp.

I ujrzała Europa wozy
od Sekwany po wożański las
w krwi skąpane, bo żelazną ręką
w naród panów Wódz przemienił nas.

Zdrada, rozbrat przekleństwem światu,
lecz dziś one sprzyjają nam:
rozbrat białą powiewa chustą,
zdrada stoi u rozwartych bram.

Oto wóz nasz zwycięsko się toczy
gdzie Zund duński, wśród Flandrii zbóż,
Lud, co nowej nie widzi epoki,
spod kół nie dźwięgnie się już.

Co Wódz zdziałał dla naszych krajów
dla dobra innych czyni, gdyż
od Adriatyku po biegun
zatyka swój znak, zgięty krzyż.

Nasz wóz montował Krupp von Bohlen,
grał Tyssen także wiodł tu prym.
Hankierów trzech wkręcało koła,
niejeden junkier pomógł im.

Lecz trzeciej zimy wóz nasz stanął,
wypełnił się podbojów czas.
Zdjęła nas trwoga: za daleko,
by wrócić do ojczystych miast.

Na wschód gdy wiodły nas drogi,
wawrzyn Wodza przysypał śnieg.
Trzeciej zimy w kraju biednych ludzi
zamarł naszych motorów bieg.

Sami w jarzmie, świat chcemy ujarzmić,
pod stopą naszą uciekł rósł:
Śmierć się czał z prawa i z lewa,
dom daleko i trzyma mróz.

G ł o s

I sędziowie są również w naszym wozie,
biegli w wychwytywaniu zakładników, umieją wyszperać sto
otlar

oskarżonych, że są Francuzami,
uświadczonymi miłością do swego kraju,
bowiem nasi sędziowie uczeni są w niemieckim prawie
i wiedzą czego się od nich żąda.

I jest też nauczyciel w naszym wozie,
obecnie kapitan w kapeluszu ze stali,
który udziela lekcji
rybakom Norwegii i winogrodnikom Szampani,
ponieważ przed siedmioma laty był dzień
już chyba spłowiwały, lecz niezapomniany,
gdy w kręgu własnej rodziny nauczył się
nienawidzić szpiclów.

I gdzie tylko przyszlismy, szczuliśmy ojca przeciw synowi
i przyjaciela przeciw przyjaciołowi.
I władaliśmy na obczyźnie
nie inaczej niż we własnym kraju.

I nie ma innej sprawy tylko nasza,
i nikt nie wie jak długo do nas należy.

Przychodzimy wygłodniałi jak szarańcza,
w tydzień pożeramy do szczytu całe kraje,
ponieważ dostaliśmy armaty zamiast masła
i już od dawna syplemy otręby do powszedniego chleba.

A gdzie przychodzimy, matki nie są bezpieczne ni dzieci,
ponieważ nie oszczędziliśmy
własnych dzieci.
I ziarno w spichrzu nie jest bezpieczne gdy przychodzimy,
ani trzoda w stajniach,
ponieważ zabrano nam własną trzodę.

I zabieramy im synów i córki
i z litości rzucamy kartofle
i jak przykazały nam matki, kažemy krzyżeć: „Heil Hitler!”
jakby przypiekano ich na różnie.

I nie ma Boga,
tylko Adolf Hitler.

I ujarzmiłiśmy inne narody
jak ujarzmiłiśmy własny naród.

Oto sąsiad wydawał sąsiada,
tak rozszarpał się mali ludzie
i nienawiść rosła w domach i dzielnicach
i kroczyliśmy śmiało
i prosiłiśmy do naszego wozu
każdego, kto jeszcze nie padł:
cały naród zdrajców i zdrażonych
prosiłiśmy do naszego wojennego wozu.

Z fabryk i z kuchni i z kas zapomogowych
werbowałiśmy załogę naszego wozu.
Nędzarz ciągnął do naszego wozu nędzarza,
z judaszowym pocałunkiem wprowadzaliśmy go do naszego wozu,
z przyjacielskim trząśnięciem w plecy
wciągałiśmy ich do naszego wojennego wozu.

Rozdarcie narodu uczyniło nas tak wielkimi.
Nasi więźniowie zmagali się jeszcze w koncentracyjnych obozach,
a przecież w końcu wszyscy są w naszym wozie.
Więźniowie przyszli do naszego wozu
i strażnicy przyszli do naszego wozu.
Dręczeni i dręczyciele,
wszystko to przyszło do naszego wozu.

Biliśmy okłaski pocziwemu wyrobnikowi
i zasypywałiśmy go groźbami.
Postawiliśmy wozony z kwiatami w jaskiniach znojnego trudu
i SS-manów przy wyjściu.
W salwach okłasków i w salwach wystrzałów
zaprosiliśmy go do naszego wojennego wozu.

Strwożone matki Bretanii
Tuląc dzieci wypatrują na niebie
wynalazków naszych uczonych.
Bowiem w naszym wozie są i światli ludzie,
uczniowie osławionego Einsteina,
wychowani oczywiście przez Führera w żelaznej dyscyplinie
i pouczeni co to jest aryjska nauka.

Lekarz jest również w naszym wozie,
on decyduje czy żonę polskiego górnika
wysłać do burdelu w Krakowie,
robi to dobrze i bez zbędnych ceremonii,
mając w pamięci stratę w l a s n e j żony,
która była Żydówką i została wywieziona,
ponieważ nadczłowiek powinien być kojarzony starannie
i Führer określił, z kim ma się kłaść do łóżka.



JERZY ĆWIERTNIA

Wierzba

WIESŁAW
GŁOWACKI

DOMAGAMY SIĘ ODPOWIEDZI

W sprawie
systemu studiów

Są sprawy, które nabrzmiewają długo i boleśnie. Kiedy wreszcie zacznie się o nich głośno mówić — dyskusja wybucha z siłą żywiołu, ludzie dotąd spokojni stają się zaciekłymi polemistami. Później, gdy wnioski wypływające z takiej dyskusji są już niemal dla wszystkich oczywiste — zwykło się oczekiwać realizacji postulatów. A jeśli oczekujących spotka zawód, jeśli okaże się, że z ich głosami nikt „z góry” się nie liczy i nawet nie raczy na nie odpowiedzieć — przychodzi wielkie rozczarowanie, wielu traci ochotę do jakiegokolwiek walki o to, aby było lepiej, bo i tak „głową muru nie przebijesz”.

Tak było z naszą dyskusją w sprawie systemu studiów.

„Muszę się przyznać, że straciłem wszelką ochotę do dyskusji, choćby dotyczyły one spraw bezpośrednio mnie interesujących — pisze jeden z Czytelników. — Odpycha mnie przeświadczenie, że... to i tak nie zmieni istniejącego stanu rzeczy. Przemawia przede mną gorzkie doświadczenie poprzednich dyskusji. Powołam się na przykład o poważnym ciężarze gatunkowym, na dyskusję o naszym szkolnictwie wyższym. Zabierali wtedy głos profesorowie, asystenci, studenci, publicyści. Ileż mówiono np. o zreformowaniu dyscypliny studiów! Efekty równają się zeru. Studenci znów muszą chodzić na wszystkie

wykłady, choć każdy zdaje sobie sprawę, że to strata czasu”.

Podobnych głosów słyszy się wiele, bardzo wiele. Na pewno nie byłoby ich tyle, gdyby postulaty naszej dyskusji nie były tak jednogłose, gdyby nie to, że prawie wszyscy dyskutanci — zarówno pracownicy naukowi jak i studenci — byli zgodni co do konieczności reformy obecnego systemu studiów a nawet co do środków tej reformy.

Prawie dla wszystkich jest oczywisty intelektualny charakter obecnego systemu studiów, który nie pozwala studentowi należycie przygotować się do przyszłej pracy zawodowej, który „produkuje” zbyt wielu ludzi niedouczonego fachowo i słabych ideologicznie, ludzi niesamodzielnych i nie mających żadnych zainteresowań. A tak musi być, gdy w systemie tym nie ma bodźców do rzetelnego, głębokiego opanowywania wiedzy, a są jedynie administracyjne środki zmuszające studenta do siedzenia na wszystkich wykładach i do „wkuwania” jak największej ilości wiadomości, które wystarczy zapamiętać do egzaminu. Złe ustalenie programów, fałszywie pojmowana dyscyplina studiów i „egzaminacyjne szopki” — to główne sprawy, które zdaniem dyskutantów wymagają szybkiego i radykalnego rozwiązania.

Oczywiście nie miejsce tu, aby przypominać wszystkie postulaty (nie mówiąc już o argumentach) bo

wymagałoby to powtórzenia całej dyskusji, która w okresie od kwietnia do czerwca br. zajmowała łamy PO PROSTU. Pragniemy tylko przypomnieć, że dotychczas nikt z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego nie ustosunkował się do naszej dyskusji, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, na którą czeka wiele tysięcy Czytelników pisma.

Trudno bowiem zadowolić się usprawnieniami, które z początku bieżącego roku akademickiego wprowadziło Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. Szczególnie drażliwy jest tu problem dyscypliny studiów, którą Ministerstwo — z uporem godnym lepszej sprawy — w praktyce ogranicza do administracyjnego obowiązku obecności na wszystkich zajęciach.

Odbija się to i na niektórych dyskutantach, którzy domagając się „zniesienia dyscypliny studiów” myślą tylko o tymże obowiązku, bo oczywiście dyscyplina pojmowana jako obowiązek rzetelnego i systematycznego opanowywania wiedzy musi być jedną z podstaw socjalistycznego systemu studiów. Zresztą w dyskusowanym problemie systemu studiów sprawy dyscypliny są raczej wtórne; jeśli dyskutanci kładą na nie tak duży nacisk to chyba tylko dlatego, że tu spodziewano się stosunkowo najszybszych i najprostszych rozwiązań.

Przecież dla olbrzymiej większości dyskutantów

jest oczywiste — bo potwierdza to codzienna praktyka wszystkich uczelni, że zmuszanie studentów do obecności na wszystkich wykładach — to zmuszanie ich w bardzo wielu wypadkach do marnowania czasu. Dla wszystkich również oczywista jest demoralizacja, jaką niesie ze sobą zmuszanie studentów do omijania przepisów.

Dla wszystkich, tylko nie dla Ministerstwa i niektórych profesorów, którzy stoją w obronie braków obecnego systemu studiów ze zrozumiałych względów: łatwiej administrować niż wychowywać. Łatwiej np. zmusić studentów do przychodzenia na wykłady administracyjnymi przepisami niż osiągnąć to drogą ulepszenia tych wykładów, drogą zamiany nudnego powtarzania podręcznika na ciekawe omawianie wązłych spraw.

Łatwiej, to prawda, ale na pewno nie lepiej.

Jesteśmy o tym głęboko przekonani, utwierdziła nas w tym dyskusja na łamach PO PROSTU i codzienne kontakty z życiem wyższych uczelni. Być może — kierownictwo Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego jest innego zdania i ma swoje argumenty. Jeśli tak — chcielibyśmy je poznać. Mamy prawo i obowiązek żądać rzetelnego ustosunkowania się do głosów ludzi, którzy pragną poprawy pracy naszych wyższych uczelni.

Przewodniczący chilijskiej federacji studentów — Victor Barbieri, który na polecenie kongresu studentów Ameryki Łacińskiej (odbytego niedawno w Santiago) badał w Boliwii sprawę zatargu rządu ze studentami — stwierdził, że wielu spośród demonstrantów aresztowano i osadzono w więzieniu. Barbieri po powrocie do Chile oświadczył, że „uniwersytety w La Paz, Cochabamba i Oruro znajdują się pod wpływami komunistycznymi”. Studenci boliwijscy występują przeciwko rządzącej partii „Ruch Narodowo - Rewolucyjny” oskarżając ją o porzucenie hasła rewolucji.

*

W Belgii, po długim różemnie w walce o reformę szkolnictwa, partia katolicka dała znak życia, korzystając z rozpoczęcia nowego roku akademickiego. W mieście Lourain studenci uniwersytetu katolickiego zorganizowali wielką manifestację przeciwko polityce rządu w sprawie szkolnictwa.

Manifestacje trwały do wieczora. Doszło również do bezkrwawych starć z policją, podczas których aresztowano siedmiu studentów.

*

Pewna studentka Uniwersytetu w Monachium zwróciła się niedawno do bawiącej w Niemczech wybitnej osobistości amerykańskiego świata kulturalnego z pytaniem:

— Która książka maluje prawdziwy obraz współczesnego życia w USA?

Osobistość owa nie potrafiła udzielić monachijskiej studentce żadnej odpowiedzi, natomiast pytanie przedostało się na szpalty prasy amerykańskiej. Z odpowiedzią pośpieszył wybitny pisarz amerykański — John Steinbeck. Napisał on tak:

„Droga Pani, mogę polecić Pani tylko jedną taką książkę. Jest nią spis abonentów nowojorskiej sieci telefonicznej. Nazwiska, związki między nazwiskami, odmalują Pani pełny i prawdziwy obraz wszechstronnego życia współczesnej Ameryki”.

Tylko jeden proces?

KRZYSZTOF POMIAN

Współczesna filozofia burżuazyjna jest widowiskiem interesujących zabiegów kostiumologicznych. Bardzo często filozofowie nie mający nic wspólnego z marksizmem, których prace wymierzone są bezpośrednio przeciwko filozofii proletariatu, usiłują osłaniać swą istotną postawę płaszczem maskującym gołostownych deklaracji. „Jestem marksistą” — wołał jeden z czolowych filozofów socjaldemokratycznych, Georges Izard. „Jestem jednym z nielicznych prawdziwych marksistów w Europie i na świecie” — usiłuje przekonywać natwnych autor antymarksistowskich „Przygód Dialektyki”, profesor Merleau-Ponty. „Ja naprawdę jestem materialistą” — tłumaczył Dewey, pragmatysta amerykański. Nawet Rudolf Carnap, obecny wódz szkoły neopozytywistycznej, oświadczył o sobie: „Jestem czystym materialistą”.

Przytoczone tu przykłady nie są odosobnione. Amatorów zdobywania szerokiego audytorium, za cenę podszycania się pod marksizm lub materializm, można znaleźć wielu. Z drugiej zaś strony, filozofowie zajmujący w gruncie rzeczy stanowisko materialistyczne, a przynajmniej antyidealistyczne, z wielu względów wolą się do tego nie przyznawać i przemycają swój materializm pod osłoną mniej lub bardziej wymyślnych nazw. Ba, odcinają się oni często od materializmu i twierdzą, że z tym kierunkiem nie ich nie łączy. Wspomniane zjawisko, jakkolwiek nie nosi powszechnego charakteru, znakomicie utrudnia badaczowi-marksiście ustalenie prawdziwego oblicza filozoficznego niektórych myślicieli. Zmusza do wnikliwej analizy, a przede wszystkim

Profesor uniwersytetu w Bristol, C. F. Powell — laureat nagrody Nobla, specjalista w dziedzinie promieni kosmicznych, który ostatnio odbył podróż do Związku Radzieckiego, ródad do wiadomości, że radzieccy fizycy wyrazili zgodę na jego projekt przeprowadzenia wspólnych radziecko - angielskich badań nad promieniami kosmicznymi w zasięgu nadarktycznej zorzy polarnej. Dodał on również, że ekipa radziecka umożliwi fizykom angielskim korzystanie ze specjalnego synchro - cyklotronu budowanego obecnie w Związku Radzieckim.

*

W maju przyszłego roku w Dżakarcie lub Bandungu odbędzie się zjazd studentów państw Azji i Afryki.

Ostatnio w Puntdzaku koło Dżakarty odbyła się sesja Komitetu Organizacyjnego Zjazdu. W skład komitetu wchodzi przedstawiciele Indonezji, Chin Ludowych, Filipin i Indii. Przedstawiciel hinduski zgłosił propozycję, aby krąg uczestników Zjazdu był jak najszerszy i aby reprezentował wszystkie organizacje studenckie obu kontynentów. Sesja postanowiła powołać Międzynarodowy Komitet Okrągły Zjazdu złożony z przedstawicieli studentów Indonezji, Indii, Chin, Filipin, Burmy, Japonii, Libanu, Iranu i Egiptu.

*

Amerykański instytut Gallupa zajął się ostatnio zbadaniem stanu czytelnictwa wśród absolwentów college'ów. Jedną z ankiet Gallupa zawierała pytanie: „Czy zna pan autorów książek o następujących tytułach: „Tragedia amerykańska”, „Babbit”, „Przygody Guliwera”, „Żdźbła trawy”, „Utopia”, „Tom Jones”, „Targowisko próżności”, „O pochodzeniu gatunków”?

Odpowiedzi były zaskakujące, tym bardziej, że jak wiadomo ankiet dotyczy książek autorów anglosaskich. Okazało się, że 9 procent absolwentów nie zna ani jednego autora wymienionych książek, 39 procent — wymieniło trzech autorów, a 52 procent — czterech.

kim do konkretno - historycznego podejścia do każdego poszczególnego filozofa.

Wydaje się, że właśnie niedocenne zasady konkretnego podejścia do filozofii burżuazyjnej mogło doprowadzić do poniższej oceny:

„Współczesna filozofia angielska jest całkowicie idealistyczna — stwierdza w swej rozprawie na ten temat dr Trachtenberg. — Tylko niektóre ideologiczne postępowych sił demokratycznych są nosicielami materializmu filozoficznego. Tylko wśród przyników zachowały się tradycje żywozowego materializmu. Zaś w burżuazyjnej filozofii — powtarzamy — obserwujemy tylko różne warianty idealizmu”.

Wydaje się, że cytowany pogląd grzeszy dwoma błędami. Po pierwsze, zakłada on milcząco nieistnienie w obecnych warunkach innych form materializmu poza marksistowskim materializmem dialektycznym. Po drugie — a wynika to z poprzednio powiedzianego — neguje on z miejsca istnienie we współczesnej burżuazyjnej filozofii angielskiej linii materialistycznej. Opublikowana ostatnio w „Woprosach Filozofii” dyskusyjna zresztą, rozprawa prof. Cornfortha „Przeciwmy idealizm w współczesnej angielskiej filozofii burżuazyjnej”, prowadzi do wniosków całkowicie sprzecznych z tezą dr Trachtenberga.

OD CIEMNOŚCI DO ŚWIATŁA DNIA

Cytowana wyżej opinia Trachtenberga wyraża myśl, że we współczesnej filozofii angielskiej panoszy się niepodzielnie idealizm. Temu poglądowi przeciwstawia się zdecydowanie Cornforth. „Impuls materialistyczny, pierwotnie nadany filozofii angielskiej przez Bacona i Hobbesa, nigdy nie zaginął. Choć reakcyjne wpływy w kraju starają się na różne sposoby za-

Mam na swoim koncie pół tuzina, a może nawet tuzin zjadliwych i sztyrdczych felietonów o ZMP. Coraz częściej wyjeżdżając w teren, spotykam się ze zdaniem ludzi — „Jesteśmy chętni, chcemy jak najlepiej. Nauczcie! Krytykować — mówią — jest łatwo. Pokażcie, jak robić”. — W tych słowach jest dużo prawdy, można się o tym przekonać porównując dwa artykuły — Godka i Chełstowskiego — pisane pod wspólnym nadtytułem „Drugi Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie”. Doprawdy, ubożuchno jest ten drugi, postulatyczny artykuł. Nie jest wykluczone, że i w moim wypadku tak będzie — że moje uwagi postulatyczne okażą się o wiele blędsze od słów potępienia. Z wielkim strachem wstępuję w szranki.

Co robić w ZMP? Muszę powiedzieć, że pytanie jest żenujące. Tym bardziej żenujące, że pada często z ust wyższego aktywu. Ale cóż, nie mamy idealnej organizacji. I nikt tu nie jest bez winy. Zdawałoby się, że takie pytanie powinien sobie stawiać każdy młody, dorosły człowiek (mam na myśli studenta), który wypełnia deklarację.

Po cóż on w końcu ją wypełnia? Czy po to, żeby podnosić rękę z legitymacją i głosować „za”, czy po to, żeby mieć znaczek w klapie, żeby otrzymać adnotację w opinii? Od początku świata ludzie, którzy wstępowali do rewolucyjnych zrzezeń i organizacji społecznych — od czasów Spartakusa do KZM-owców, czynili to dlatego, że byli wrażliwi na krzywdę ludzką — swoją i innych ludzi; że byli niezadowoleni, że chcieli ulepszyć życie i byli gotowi w tym celu ponosić najwyższe ofiary. Taką była od zawsze cecha rewolucyjnych organizacji. Jeśli ktoś się chciał modlić, wstępował do stowarzyszeń religijnych. Jeśli się chciał bawić, wstępował do klubów rozrywkowych. Jeśli chciał pić — do towarzystwa nałogowców. Jeśli chciał śpiewać — do chóru; rozwijać się kulturalnie — do towarzystw kulturalnych. A jeśli był niezadowolony z życia i chciał je rewolucjonizować — do organizacji rewolucyjnych.

Czy ta reguła jest obecnie nieaktualna? Czy ZMP nie ma rewolucyjnych zadań? Czy ma być klubem rozrywkowym, urządzającym zabawy? To ostatnie między innymi tak. Czy ma być klubem dyskusyjnym albo szkoleniowym? Między innymi — tak. Ale ani jedno, ani drugie nie może być główną treścią pracy ZMP. To wszystko są jakieś pomocnicze środki, mające służyć głównemu — udziałowi w zmienianiu życia na lepsze.

Jedną z najbardziej destrukcyjnie działających tendencji w organizacji ZMP jest tendencja lojalnościowa, „osiągnięciowcy” — jak kto woli ją nazywać. Deklaratywizm, wyparty z poezji, rozgościł się tu na dobre. Pełno jest młodych ludzi — na różnych szczeblach aktywu — bezkrytycznych i beznmyślnych chwalców rzeczywistości, ustroju ludowego — sielanki.. Są to chwalcy etatowi i nieetatowi, robiący to z zamiłowania, w najlepszej wierze —

pewnie panowanie idealizmu, opozycja wobec tego kierunku istnieje nadal. Istnieje ona, ponieważ podtrzymują ją stałe wpływy nauki oraz świadomości prostych ludzi. Oba te wpływy nie mogą nie odbić się na filozofii”. Ta teza Cornfortha znajduje potwierdzenie w przeprowadzonej przez niego wnikliwej analizie dorobku czterech burżuazyjnych filozofów angielskich: R. G. Collingwooda, Samuela Alexandera, A. N. Whiteheada oraz Gilberta Ryle'a.

Charakterystyczny dla większości spośród omawianych przez Cornfortha myślicieli jest ich zdecydowany sprzeciw wobec modnych, subiektywno - idealistycznych kierunków. Collingwood jedną ze swych prac poświęcił krytyce szkoły „analizy logicznej”, w pewnym stopniu z idealizmem subiektywnym polemizował Whitehead, szczególnie zajmowała się tym jego uczennica Susan Stebbing. Ryle wreszcie we wszystkich swych pracach przeciwstawia się decydowanie neopozytywizmowi.

Szczególne charakterystyczne jest stanowisko w tej sprawie Collingwooda. Wskazywał on bowiem na całkowitą niezdolność subiektywistycznej odmiany idealizmu do udzielenia pozytywnej odpowiedzi na badane przez nią zagadnienia. Ci „bankruci filozoficzni”, jak ich nazywał, prowadzą filozofię do samośmieszenia się, budząc w myślicieli całkowitą nieufność do różnorodnych koncepcji. Poza tym czynią oni z filozofii przedmiot dostępny jedynie dla wąskiej grupy wtajemniczonych. Dostrzegał on także pewne polityczne implikacje neopozytywistycznej doktryny. W opublikowanej pod koniec życia „Autobiografii” opisuje, jak krok za

(Dokończenie na str. 5)

czasami dla karłery, nierządkiem — by pokryć własne nierobstwo. „Patrzcie, rząd, ustrój tyle dla was robią a wy macie do nas, do jego przedstawicieli, pretensję o nudny wykład, o balagan, o brak biletów do kina... Albo o inne drobiazgi”.

Jestem przekonany, że każdy człowiek widzi osiągnięcia. A jednak młodzi ludzie są szczególnie wrażliwi na ciągłe przypominanie im, że w przedwojennej Polsce nie studiowaliby, wskazywanie na ilość budowanych szkół, fabryk itd. Młody człowiek, jak się zaczyna mu mówić od tej beczki, odpowiada „Nikt mi nie robi łaski. Państwo mnie potrzebuje, więc mnie kształci”. Odpowiada tak samo, jak odpowiada syn matce, która wypomina mu, że go urodziła, że go wychowała, że siedziała przy nim nocami.

Młody człowiek, tak samo jak dziecko do matki, może odpowiedzieć: „Ja przecież swoich mądrości dla siebie nie zachowam. Przekażę je dalej”. A to ciągle przypomina nie jest nudne i bezpłodne. Młodzi ludzie są bardzo wrażliwi na bezpłodność.

„Osiągnięciowcy” nie poprzestali na tym, poszli dalej. Uknuli sobie teorię, że skoro mamy tak duże osiągnięcia — dzieje się nam dobrze. Jesteśmy pokoleniem szczęśliwym. To miała być odpowiedź na reakcyjną plotkę, że jesteśmy rzekomo tylko nawozem dla przyszłych pokoleń. W walce z tą plotką „osiągnięciowcy” zagubili najistotniejszą część rewolucji. Twórcze życie. „Osiągnięciowcy” w dużej mierze przyczynili się do rozpowszechnienia drobnonieszczęśliwych nastrojów wśród młodzieży, na które tak teraz sarkają.

II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie (4)

Lojalność czy rewolucyjność? ...

EDMUND GONCZARSKI

szechnienia drobnonieszczęśliwych nastrojów wśród młodzieży, na które tak teraz sarkają.

Był czas, kiedy przychodziło się do młodzieży z hasłem „Macie wszelkie warunki, żeby być szczęśliwymi”. Żadne inne hasło tak nie trafiało. Młodzi poeci pisali wiersze o buńczucznie wykładanych kołnierzykach; przeciwstawiali się rzekomemu cierpiętnictwu; na pewien okres czasu zatriumfowały — o dziwo! — zbankrutowane skamandryckie teorie poetyckie i żywiołowej radości i szczęśliwości. Działo się to w społeczeństwie zapracowanym, zaharowanym, w miastach, gdzie raz po raz brakło najniebezpieczniejszych produktów — masła, mięsa...

Młody człowiek, który dostawał dwieście złotych stypendium, w którego rodzinie się nie przelewał, chciał też używać. Czynił to w granicach dla siebie dostępnych — kupował za połowę stypendium wódkę, zabawiał się w granicach swoich możliwości — dziewczynka, pijatyka, brzyd. Młodemu człowiekowi groził wyjazd do Płidówki. „Przeprasam — powiedział — jeśli jesteśmy społeczeństwem tak szczęśliwym, dlaczego ja mam gnić w Płidówce za 800 zł miesięcznie?” I różnymi kanałami poprzez wpływowych wujców i tatów wpływały do komisji przydziału pracy pofune liściki i telefony. ZMP szafując argumentami o szczęściu naszego pokolenia, nie bardzo rozumiejąc na czym to szczęście ma polegać, rzadko przeciwstawiało się tym tendencjom.

Wśród zetempowców powstały dwa odmienne poglądy na rzeczywistość. Jeden, chwalcący wszystko pod rząd — pogląd „osiągnięciowcy”; drugi, widzący rzeczy z punktu braków i niedostatków dnia dzisiejszego. Przy czym jedni i drudzy przez przekorę przesadzali. Zbyteczne byłoby powiedzieć, że pierwszy kierunek reprezentowali najczęściej aktywiści.

Gdy tylko się ktoś na coś skarżył — na zebraniu czy w prywatnej rozmowie, na braki, na balagan, na ciężkie życie — zawsze znajdował się aktywista, który zaczynał mu tłumaczyć, że rzeczywistość jest właściwie wspaniała. W najlepszym wypadku tylko tłumaczył, a w najgorszym?... Niedawno przeglądałem plik ankiet studentów prawa. Byłem przerażony. Co najmniej 50 proc. młodych ludzi miało zaopiniowane ankiety — „Stosunek wrogi do rzeczywistości”, „Stosunek obojętny do rzeczywistości”. Zważcie — nie do ZMP, nawet nie do poszczególnych posunięć tego lub owego ministra, nawet nie do rządu czy KC — tylko do całej rzeczywistości! Dotyczyło to młodych ludzi, którzy studiowali prawa tej rzeczywistości. Nie wiem, jestem jakoś głęboko przekonany, że większość tych ludzi miała tylko zastrzeżenia do poszczególnych odcinków tej rzeczywistości. A wątpię, żeby choć jeden z nich życzył sobie, żeby w tej rzeczywistości działał się coraz gorzej. Takie opiniowanie mogło się zdarzyć tylko w komórze, gdzie istnieje hierarchia nie działania, tylko gadania i chwalenia, gdzie istnieje zasada, że im mniej kto widzi zła, tym większym jest patriotą. A największym patriotą był chyba przewodniczący, który prawdopodobnie widział wszystko w różnorodnych barwach. Organizacja, która by rzeczywistości działała, takich opinii nie miałaby ani kiedy, ani po co wystawiać.

Od teorii „osiągnięciowców” do samouspokojenia, od samouspokojenia

do bezczynności i urzędowania — to tylko jeden krok. Wszystko to jest szczególnie niebezpieczne na uczelni, gdzie nie ma praktycznego działania i istnieją szczególne przesłanki do teoretyzowania.

*

Każdą regułę można doprowadzić do absurdu. Istnieje popularny slogan „ZMP jest pomocnikiem partii i władz uczelni w wychowywaniu młodzieży”. Formułka czasami pomaga, precyzuje, ale z każdej formułki można zrobić transparent, przesłaniający rzeczywistość. ZMP jest pomocnikiem partii. Ale jeśli partia na danym terenie działa niedostatecznie? Jeśli jest słaba liczebnie? Jeśli w egzekutywie jest mało zdolnych ludzi — co się często zdarza na uczelni? Jeśli władze uczelni nie prowadzą pracy wychowawczej? Obiecuję nam ministerstwo, że będą prowadzić. Ale co robić na razie? A jeśli gdzieśniedzie ta obietnica nie zostanie spełniona? Czyż można sobie w ogóle wyobrazić wykłady albo katedrę prowadzone tak idealnie, że nie wymagają uzupełnienia?

Doprawdy — zły to pomocnik, który nie potrafi wyreczyć swego kierownika. Zły to pomocnik, który sprowadza się do roli posługacza, albo mechanicznego wykonawcy.

W różnych artykułach, na dyskusjach mówiono sporo o tym, że ZMP powinien współdziałać z katedrą marksizmu. To współdziałanie sprowadzało się najczęściej do sprawowania stopnia albo obecności na wykładach. Czy chociażby jedna komórka ZMP w kraju wystąpiła z

studentów z realną sytuacją na wsi, z bołaczkami, z trudnościami. Nauczyć, jak i gdzie można tam pomóc. Opowiedzieć o ludziach tamtejszych i ich życiu. Nie ma tak drastycznego przykładu życia w kraju, którego nie należy przytaczać zetempowcom. Jeśli by tak przygotować się do akcji wyjazdu w teren, nie byłoby rozczarowania, które wywołały nie tyle z obejrzanego stanu rzeczy, ile z poczucia bezsilności, że to wszystko odbywa się poza nami, że nie potrafimy, nie wiemy, jak pomóc.

A pomóc trzeba nie tylko w skądli krajowej. Sądzę, że wychowywać młodzież przy pomocy umoralniającej gadki — niesposób. Tam gdzie się dzieje źle — tam jest pole działania ZMP. Nie widzę nic złego w tym np. że zetempowcy na AM zorganizują dyżury w tych szpitalach, w których jest szczególnie ciężka sytuacja z personelem, ani w tym, że zetempowcy pójdą z interwencją do dyrektora szpitala. Powie mu o pielęgniarkach czy lekarzu nie mających ludzkiego podejścia do chorego. Wtedy nasze gadki o moralności nie byłyby drętwe i nie sprowadzałyby się do zagadnień moczościowych.

Co robić w ZMP? ZMP powinien chyba być rewolucyjną organizacją. A rewolucjonista — to człowiek szczególnie uczulony na wszelką krzywdę ludzką, małą czy wielką.

Na pewnej uczelni dziewczyna zachorowała na złośliwą anemię. Jej koleżanka sprzedawała krew, żeby zdobyć pieniądze dla niej na za graniczne zastrzyki. O tym wszystkim w grupie nie wiedziiano. Ani o tym, że chorą skreślono z listy stypendystów za niezdam egzaminu. Inna koleżanka z Lublina opowiadała mi. „Co ja się tam będę zajmowała wielką polityką na zebraniu! I na co mi te sztywniackie gadki, kiedy jadam obiad co trzeci dzień”. No cóż, o tym powinno ZMP wiedzieć — czy kto ma na obiad, czy nie jest czasem chory, czy ma gdzie mieszkać. Bez tego nie można mówić o kolektywie — bez atmosfery koleżeństwa, braterstwa i człowieczeństwa.

Kolektyw powinien pomóc w najtrudniejszych wypadkach. Naturalnie, jeśli zrezygnuje się w ZMP z tej dziwacznej hierarchii, sztucznie wyrozumowanej — że najpierw jest wielka polityka, ta największa, ta międzynarodowa, ta Wschód - Zachód, potem polityka mniejsza, krajowa, „akcyjna”, zobowiązaniowa, później jeszcze mniejsza — uczelniana, światopoglądowo-moralnościowa, a na ostatku dopiero inne „drobiazgi”... Trzeba do spraw ludzkich podchodzić zwyczajnie, z sercem. Student, który się nie nauczył po przyjacielsku traktować swego kolegi, pomóc mu nawet kosztem własnego nakładu sił i czasu — ten właśnie nie ma pozytywnego stosunku do rzeczywistości, której częścią, bardzo rzeczywistą i wymagającą w sposób palący ustosunkowania się, jest właśnie ów kolega.

Doprawdy, żenujące jest pytanie „Co robić w ZMP?” jeśli w kraju jest tak wiele do zrobienia.

Nie ma jeszcze roku od II Zjazdu a już gdzieniedzie mówi się z uśmiechem o podstawowym postulacie II Zjazdu — o inicjatywie mas. Że te masy wysuwają czasami dziwaczne żądania; np. jakieś koło ZMP we Wrocławiu zażądało referatu i dyskusji na temat higieny stosunków płciowych. To „curiosum” powtarzane jest z ust do ust, zwłaszcza wśród górnego aktywu. Ma ono służyć jako talizman. Żeby broń Boże masy nie zwinęły linii ideowej ZMP. „Patrzcie — powtarzają sobie ze sprytną miną — jakie te masy są nieodjeżdżałe”. Można by sądzić, że komenderowanie od górne nie zrodziło błędów tysięcy kroć absurdalniejszych; nie doprowadziło do zbiurokratyzowania poważnej części ZMP. Działu to wciąż oportunistom, niechęć do nowych, o wiele trudniejszych form pracy. Trzeba powiedzieć wszystkim oportunistom, że od instancji można się odwołać do wyższej — od wyższej do najwyższej. Natomiast nie można się odwoływać od masy członkowskiej. Od mas można się tylko odizolować, co też aktywnie często w przeszłości czynił.

Powiadają Godek i Chełstowski, że młodzież trzeba zmusić do myślenia. Doprawdy nie trzeba ich zmuszać. Młodzież myśli — na ogół myśli właściwie. Trzeba tylko jej dać pełnię życia. Trzeba jej krytykę, jej pretensje do naszej rzeczywistości w wielu wypadkach słuszne — przetransponować na czyn. Trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć, że krytyka niedociągnięć jest dowodem aktywnego stosunku do życia; jest dowodem patriotyzmu, a nie reakcyjności. Naturalnie, o ile za tym stoi chęć pracy nad naprawianiem istniejącego złego stanu rzeczy. Młodzieży nie trzeba zmuszać do myślenia; niewiele też da głosowne przekonywanie. Trzeba się odwołać bez oportunistycznych lęków do mas młodzieży. Trzeba porwać ją do działania i współspodarzenia.

Ma prawo istnieć tylko taka grupa zetempowska, która dokonała i dokonuje wielkiej roboty, której praca posiada pewien ciężar gatunkowy Grupa, która tylko urzędowała, która istnieje siłą inercji, dlatego, że przeciwko powinno być ZMP — nie ma racji bytu i w zasadzie tylko kompromituje organizację.

Wiosną tego roku zaszczerło w Zakopanem człowieka. Krótką korespondencją w tej sprawie, którą zamieściliśmy trzy tygodnie temu w 35 numerze PO PROSTU wywołała wiele oburzenia wśród naszych Czytelników. Otrzymałmy ogromną ilość listów, żądających wytoczenia procesu sprawcom flagrantnych wydarzeń. Poniszcy reportaż stanowi próbę odświeżenia kulis zbrodni, przy czym oczywiście jest, że tylko proponowany przez Czytelników otwarty proces ujawni może stopień winy poszczególnych osób, odpowiedzialnych za to, co się stało.

1.

W archiwum nowotarskiej prokuratury znalazłem bładoniebiejską, standardową teczkę z napisem:

AKTA SPRAWY POLAKA STANISŁAWA

Wertowałem przykurzone, pobrudzone palcami arkusze. Na samym wierzchu sporego pliku dokumentów przypięta jest spinaczem kartka. To notatka służbowa starszego sierżanta Jana Serafina z Zakopanego:

...dnia 17.III.1955 około godziny 21.30 zgłosił się na lutejszy Komisariat MO... BUCZUSKI... zawiadamiając, że w Parku leży jakas nieprzytomna kobieta. Udać się na miejsce stwierdziłem, że faktycznie przysypała śniegiem jest jakaś kobieta. Gdy poruszyłem ją okazało się, że żyje, tylko jest pijana. Wymienioną przewieziono do komisariatu i oświadczone do wytrzeźwienia. W toku wspanego rozpytania ustalono, że do tego stanu doprowadził ją Polak Stanisław i pozostawił w Parku... i jego przytrzymał... też był w stanie nieprzytomnym...

Wypadek — z rzędu tych, które chociaż nie często, można jednak spotkać w praktyce naszego życia. Wypadek godny napiętnowania i natychmiawowej reakcji milicji, służnie więc, że Polka zatrzymano w komisariacie. Ale jednocześnie wypadek o strasznym zakończeniu i stał właśnie prokuratura w Nowym Targu nagromadziła tyle materiału dowodowego, stał właśnie doszedłem do przekonania, że należy o nim napisać.

Przysypała śniegiem kobieta nazywała się Stanisława Kobialkówna, miała osiemnascie lat i była uczennicą trzeciej klasy wydziału rzeźby Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem.

Przerzucając protokoły i raporty fletdce, wiedząc już, że datę tę przyjąć trzeba jako początek końca, szukałem odpowiedzi na pytanie:

Jaką drogę przebyła osiemnastoletnia uczennica do miejsca, w którym dnia 17 marca 1955 roku odnalazł ją starszy sierżant milicji, Jan Serafin?

2.

Wysoko nad Zakopanem, daleko za Antolówką, na łagodnym zboczach Bachledzkiego Wierchu stoi dom Kobialków. Schodząc pewnego bezkiesiowego wrześnieowego wieczoru po kamienistej, góralskiej drodze ku miastu — myślałem nad tym wszystkim co w tym domu widziałem i usłyszałem.

Ojca swego Stanisława nie znała. Jej zyciorys jest prosty, tak typowy, że aż niemal schematyczny. Robotnik Jan Kobialka umarł w sześć tygodni po narodzinach najmłodszej córki. Pozostało po nim kilka fotografii i mogiła na zakopiańskim cmentarzu. Stanisława często tam chodziła, spędzała długie chwile przy grobie z krzyżem, na którym widniało jej nazwisko. Później już, gdy rozmawiałem z ludźmi na jej temat, powracał często ten właśnie moment. Rozmówcy moi, którzy w jakimś stopniu winni byli tego co się stało, próbowali w ten sposób przekonać mnie, że dziewczyna miała skłonności do mistycyzmu, że była zamknięta w sobie, trudna do zwierzchni, melancholijna.

Wdowie, Marii Kobialkowej, pozostało więc czworo dzieci, z których najmłodszym była właśnie Stanisława.

Trudno oceniać, czy wychowywała swoje dzieci dobrze czy źle. Dawała im jednak wszystko co mogła i pewnie jest, że nie było jej łatwo. Nie posiadała żadnych kwalifikacji, pracowała ciężko, aby tylko zarobić na ich utrzymanie. Dzisiaj synowie stali się szoferami, starsza córka wyszła za mąż, wyjechała do Częstochowy. Stanisława została w domu i kończyła szkołę. W czystym, niewielkim pokoiku na zboczach Bachledzkiego Wierchu oglądałem jej rysunki i rzeźby. Jeszcze niewprawne, jeszcze pełne błędów, ale zdradzające już duże zdolności, zdradzające talent.

Oglądałem welwetowy, granatowy płaszcz, w którym starszy sierżant Jan Serafin znalazł ją dnia 17 marca w parku miejskim.

— Tego płaszcza już nigdy potem nie założyła — mówiła z zażenowaniem Maria Kobialkowa, unosząc w górę ramięczko i wyrównując palcami fałdy materii. — Wstydziła się żeby jej kto nie poznał, nawet jak szła do szkoły to wybierała dalszą drogę, byleby tylko nie iść przez Księżuski i Krupówki...

Tak, Stanisława wstydziła się. Wstydziła się tym dobrym uczuciem, które kazano jej zerwać z Polakiem, spotkania ze swą najbliższą przyjaciółką ograniczyć do krótkich, przełotnych rozmów, które kazano jej spędzać długie godziny nad książkami, nad zaległościami w nauce.

Bała się, by szkoła nie dowiedziała się o jej smutnej przygodzie dnia 17 marca. Bo starszy sierżant Serafin obiecał jej zachować ten wypadek w tajemnicy i nie wyciągać w stosunku do niej żadnych konsekwencji z rzędu tych, które zazwyczaj stosuje się w podobnych historiach.

3.

Dziwna to szkoła. Byłem w Państwowym Liceum Technik Plastycznych cztery razy. Rozmawiałem z nauczycielami i uczniami. Przeglądałem grubą księgę

protokołów rady pedagogicznej i kartoteki uczniów. Słyszałem wiele opinii od ludzi, którzy szkołę tę obserwują z zewnątrz.

Ktoś powiedział mi, że to prywatna szkoła za państwowe pieniądze i myślę, że człowiek ten miał rację.

Ktoś inny powiedział, że to najgorsza szkoła w Zakopanem i myślę że również i ten człowiek miał rację.

Zdarzyło się, że uczniowie jednej z klas odmówili nauki marksizmu-leninizmu.

Zdarzyło się, że podczas lekcji uczeń uderzył innego ucznia.

Zdarzyło się, że po lekcji rosyjskiego uczeń uderzył innego ucznia nożem.

Zdarzyło się, że koło zetempowskiej klasy piątej wydziału rzeźby, a więc najstarsza młodzież liceum, odmówiło pracy w szkolnej organizacji zetempowskiej i demonstracyjnie nie uznało przewodniczącego zarządu szkolnego ZMP.

Zdarzyło się wreszcie, że młody nauczyciel, który dzisiaj jest sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej w innej szkole, uderzył ucznia w twarz. Ten sam nauczyciel temu samemu uczniowi kazał później za karę szorować podłogę.

Dziwne właśnie jest to, że nikogo nigdy za te wybryki nie ukarano. Ani uczniów, ani nauczycieli.

Wicedyrektor szkoły do spraw wychowawczych, Halina Kenarowa tak powiedziała na posiedzeniu rady pedagogicznej w dniu 16 kwietnia br. kiedy to omawiano sprawę wyrzucenia Kobialkówny (cytuję za protokołem):

...Ja, mając siedemnaście lat upiłam się i byłem z tego dumna, bo robiłam to, co chciałam... Targnięcie się na życie Kobialkówny uważam za dowód jej wartości jako człowieka, gdyż tylko ludzie odważni zdobywają się na ten czyn...

A magister Stanisław Sieciechowicz, kierownik administracyjny liceum i wykładowca ekonomii, na posiedzeniu rady pedagogicznej w dniu 31 marca powiedział dosłownie:

przez góralską ludność Podhala mianem „świętego człowieka”.

Nielatwo zasłużyć na takie miano. Mecenas Kowalewski długie godziny spędził musiał w zimnej, ogromnej nawie kościelnej, wejść w kontakty z proboszczami najdalszych parafii, by wreszcie osiągnąć szalona renome. Dzisiaj księza urabiają mu opinie, przysyłają doń ludzi z kartkami polecającymi. Słyszałem, że mecenas Kowalewski pyta klientów: — A u spowiedzi i komunii byliście? Pan Bóg lubi, jeśli się o nim nie zapomina...

Dzięki temu właśnie mecenas Kowalewski zarabiał dzisiaj około sześciu tysięcy złotych miesięcznie.

Byłem w mieszkaniu Kowalewskich i rozmawiałem z jego żoną panią Wandą.

Podobnie jak mecenas i ona przejęła jest potrzebą działania, jakiegoś doraźnego, płynącego z głębi religijnego wychowania dążenia do czynów wzniosłych, choć skromnych w swym wymiarze. Ludzie tego pokroju co ona nie liczą się z ofiarami, nie dziwny się więc, że gdy znalazła okazję — poświęciła się z zapalem realizacji swych pragnień.

Byliśmy w trudnościach finansowych — mówiła cicho. — Pan wie, pieniędzy nigdy nie jest za dużo, wydatki są wielkie. Dlatego musiałam wziąć posadę...

Właśnie tam, gdzie pracowała, w podstawowej szkole muzycznej, poznała Stanisława Polaka. Polak był już wtedy notorycznym alkoholikiem, aż dziwne, że pozwolono mu uczyć. On wykładał w klasie skrzypiec, ona w klasie fortepianu.

Pani Wanda zwróciła uwagę na tego człowieka, chciała go wyciągnąć z bagna, chciała uratować jego rzekomo nieprzeciętny talent. Rekonwalescencja przebiegała powoli i napotykała na trudności. Pani Wanda poświęciła się jednak, by osiągnąć zamierzony skutek i kobiecy upór począł wydawać owoce.

8.

Czy Stanisława przypuszczała, że Polak ożeni się z nią i dlatego o niczym nie powiedziała? A może nie chciała niszczyć „szczęścia” swej koleżanki? Nie zapominał, że była to bardzo wrażliwa dziewczyna i że miała osiemnascie lat. W tym wieku jeszcze inaczej widzi się niektóre rzeczy. Możliwe więc również, że po prostu wstydziła się i wolała milczeć.

Musiła jednak coś przeżywać, skoro jej siostra napisała z Częstochowy pełen niepokoju list do Haliny Kenarowej, wicedyrektora PLTP. List ten Kenarowa schowała pod sukno, zbagatelizowała go. A wtedy nie było jeszcze za późno, szkoła mogła zapoznać się bliżej z życiem Stanisławy.

List, o którym mówię, przyszedł 11 marca 1955 roku, a więc na tydzień przed wypadkiem, od którego rozpocząłem ten reportaż.

9.

Nie stwierdziłem, czy dnia 17 marca obie dziewczyny były w szkole, czy — jak to się często w tym czasie zdarzało — uciekły z lekcji. Faktem jest, że spotkały się po południu, że było zimno i że Kowalewska wysłała Stanisławę pod wódkę. Półlitrową butelkę ukryły pod płaszczem, po czym szybkim krokiem poszły ku „Jutrzence”.

W „Jutrzence” odbywały się próby orkiestry symfonicznej, w której grywał Polak. Ale tym razem dziewczęta nie szukały nauczyciela muzyki. Cytując fragment zeznania Róży Kowalewskiej:

...wódkę tej częścią wypiliśmy z flaszki w ubikacji... a potem udałyśmy się do „Morskiego Oka”, by tam wypić resztę, bo miejsce w „Jutrzence” nam nie odpowiadało, a ja miałam ochotę na herbatę...

W „Morskim Oku” dziewczyny spotkały Polaka.

Przysiadł się do ich stolika — zresztą n'z sam, Kowalewska wysła-

Rozmawiałem z kolegami Stanisławy, mieszkającymi w internacie „Borek”. Panowała wśród nich jednomyślność: — Zaczęła się od tej chwili naprawdę uczyć, uporządkowała wszystkie zeszyty, starała się jak tylko mogła. Czy widzieliśmy, że coś przeżywała? No pewnie, ona zupełnie się zmieniła od tamtej chwili...

Dlaczego więc w kilka dni później Stanisława Kobialkówna kupiła słoik preparatu „ENKA-T-2”?

12.

27 marca, w niedzielę, odbyło się posiedzenie Komitetu Rodzicielskiego Liceum. Dziwne to było posiedzenie, tajne do tego stopnia, że nie udało mi się dotrzeć nawet do protokołu.

Przewodniczący Komitetu, inżynier Mikulski sprawę postawił na ostrzu noża: albo Kobialkównę i Kowalewską usunie się ze szkoły, albo on ze szkoły zabiera swą córkę.

I to wystarczyło, by następnego dnia magister Sieciechowicz, kierownik administracyjny liceum, a więc człowiek w żadnej mierze nie upoważniony do wnikania w sprawy wychowawcze — odebrał Stanisławę legitymację szkolną.

Stało się to rano, dnia 28 marca 1955 roku. Wieczorem, około godziny 19.00, Stanisława Kobialkówna odpieczętowała słoik z preparatem „ENKA-T-2” i powoli, łyżeczką od herbaty, zjadła sto gram straszliwej trucizny — thallu. W handlu środków ten znany jest pod nazwą TRUTKA NA SZCZURY.

Następnego ranka przybyło pogotowie ratunkowe. Lekarz nie uwierzył, że Kobialkówna zażyła truciznę, pozostawił ją w domu. Cierpienie wzmagalo się. Dopiero 30 marca, na skutek stale powiększających się bólów przewieziono ją do szpitala.

Nie leczono jej dobrze. 5 kwietnia, kiedy stan chorej był już bezn-

15.

Drugi trop zbrodni prowadził do Polaka. Z nim postąpićmo najrozsądniej, to znaczy oskarżono go z artykułu 203 i osadzono w tymczasowym areszcie w ośrodku przedmactwem śledztwa. Nie urzeka bowiem zapominać, że proces Polaka to całkowita kompromitacja domu Kowalewskich.

Zarówno prokurator, jak i milicja popełnili jednak dwa błędy. Pierwszy błąd polegał na tym, że Polaka aresztowano 18 kwietnia, a więc o miesiąc za późno. Bo już 18 marca, kiedy złożył pierwsze zeznanie w komisariacie, już wtedy dostrzegł niebezpieczeństwo i począł gmatwać ślady. Kiedy Kobialkówna przyjęła truciznę — fakt ten uznał za dzwonek alarmowy. Tegiej gwoy potrzeba, żeby przedrzeć się teraz przez gąszcz sprzecznych zeznań wielu ludzi, żeby dożyć prawdy. Ale prawda kryje się przecież w tych sprzecznościach. Wystarczy porównać protokoły przesłuchania Polaka, to co on mówił, z tym co powiedziała Róża Kowalewska.

Drugi błąd polegał na tym, że oskarżono go z artykułu 203. Ten artykuł, jak powiedział mi w Warszawie prokurator Arnold Gubiński, stosuje się tylko do nieletnich i umysłowo chorych. Trzeba go oskarżyć z artykułu 204, wtedy może odwołać Polaka, Szewczyka, pozbędzie się nieco swej bezczelności i zobaczy w swym kliencie nie ofiarę, lecz przestępcę.

Artykuł 204 Kodeksu Karnego brzmi dosłownie:

Kto przemoca, groźbą bezprawną albo podstępem doprowadza inną osobę do podania się czynowi nierządnemu lub do wykonania takiego czynu, podlega karze więzienia do lat 10.

A Polak upiął Kobialkównę do nieprzytomności.

Za swój „wkład” w śmierć dziewczyny kochliwy muzyk przesiadł w nowosądeckim więzieniu miesiąc i trzy dni. Potem wypuszczono go z braku „podstaw”. Jasne, że w tym czasie Feliks Kowalewski nie zasył piał gruszek w popiele,

18.

Trzeci trop zbrodni prowadził do szkoły i w szkole się urywa. Napisałem już, że Sieciechowicz odebrał bezprawnie 28 marca legitymację Kobialkównie. Tego samego dnia zażyła truciznę, bo jak w odruchu najwyższej rozpaczy stwierdziła — „świat dla niej już nie istnieje”. Będąc na prostej drodze poprawy otrzymała nagły cios straszliwy i niespodziewany.

Postąpieno z nią nie jak z człowiekiem, lecz jak z przedmiotem.

28 marca Stanisława zażyła truciznę, 30 była już w szpitalu, a dopiero 31 marca zebrała się rada pedagogiczna i jednogłośnie zdecydowała, że obie dziewczyny należy „wyrzucić”.

Czy nauczycielska decyzja była ludzka? Czy sprawców śmierci dziewczyny nie ogarnął paniczny, zwierzęcy lęk, lęk przed odpowiedzialnością za swoje czyny, za swoją postawę, za atmosferę, jaką wytworzyli w szkole?

Wicedyrektor do spraw wychowawczych, Halina Kenarowa, zwołała to posiedzenie. Wymówiła się jednak głupstwem, nie przyszła na nie. Czy więc miała prawo 2 kwietnia, a więc wtedy, kiedy Stanisława poczyniała już majaczyć — za protestować przeciw decyzji rady pedagogicznej, którą sama zwołała? Czy miała prawo zaprotestować ta, która z tchórzostwa nie przyszła w porę, by obronić dziewczynę, która na tydzień przed fatalnym wydarzeniem dnia 17 marca otrzymała list ostrzegawczy od siostry Kobialkówny? Czy wreszcie wicedyrektor do spraw wychowawczych miała prawo powiedzieć, iż uważa Kobialkównę za bohatera, ponieważ popełniła samobójstwo?

Zamiast Kenarowej — ukarano Baczaka. Ukarano człowieka, pod którym Kenarowa kopala dołki, usunęto go ze szkoły. Prawda, że usunęto także Sieciechowicza, ale pomiędzy Baczakiem a Sieciechowiczem nie wolno stawiać znaku równania. Zapomniano przy tym wszystkim, że to właśnie Kenarowa była bezpośrednio odpowiedzialna za wychowanie.

Dlaczego wyciągam na wierzch szkolne brudy?

Bo tragiczna śmierć dziewczyny nie oczyszcza atmosfery szkoły. Stała się epizodem, gódkością dla Kenarowej, pozwoliła jej oraz jej mężowi, Antoniemu Kenarowi wypłynąć na wierzch. Kenar został dyrektorem szkoły i to bez wiedzy zarówno Komitetu Miejskiego, jak Komitetu Wojewódzkiego Partii.

Po to, żeby Kenarowa, która wcale się ze swoją niechęcią do władz partyjnych nie kryje, pozostała w szkole — ze szkoły tej usunęto partyjnego dyrektora.

17.

Życia nikt Stanisławie już nie wróci. Ale nie można przechodzić do porządku dziennego nad jej tragiczną historią. Trzeba ukać winnych, których jest wielu. Trzeba przyjrzeć się Kowalewskim, Polakowi, nauczycielom ze szkoły, trzeba zbadać sposób, w jaki leczył dziewczynę kapiący lekarz. Trzeba oczyścić atmosferę szkoły i trzeba przeanalizować pracę zakopiańskiej organizacji zetempowskiej, której nie obudził nawet kondukt żałobny, ciągnący przez miasto.

Trzeba to wszystko zrobić, żeby posłała Maria Kobialkowa nie mogła rozpaczliwie krzyknąć:

— Dlaczego nie odnaleźliście sprawców? Dlaczego ich nie ukaraliście?

Bo dziś krzyk matki oskarża nas wszystkich.





RENATO GUTTUSO

Rysunek

Trzy listy

W związku z artykułem redakcyjnym o nagrodzie dla Marka Oberlandera, jaki nie ukazał w ostatnim numerze PO PROSTU, proszę o opublikowanie następujących informacji.

1. Liczba nagród jak też ich wysokość na wystawie w Arsenale zostały ustalone przez komisję nagród wybraną w dniu 4 października na naradzie artystów uczestniczących w wystawie.
2. Wycena prac oraz ich zakup dokonane zostały przez komisję zakupów wybraną w sposób analogiczny, jak komisja nagród. Komisja zakupów przyjęła m. in. wniosek o zakup pracy u k a z d e g o wystawiającego w Arsenale artysty.
3. Obie komisje dysponowały l a c z n i e sumą 600 tysięcy złotych, przyznanych na ten cel przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz przez Obywatela Premiera. W ten sposób wysokość nagród i zakupów była zależna od liczby prac nagrodzonych i zakupionych.
4. Dla umożliwienia pracy młodym artystom, którzy pragnęli wziąć udział w wystawie, Ministerstwo Kultury wraz z innymi instytucjami przeznaczyło na stypendia 400 tysięcy zł. Na wystawę przyjęto prace około połowy stypendystów. Tak więc na stypendia, nagrody i zakupy uczestnicy Arsenału otrzymali milion zł.

Wobec powyższego uwagi Redakcji o lekceważeniu młodych artystów w Arsenale są nieodpowiedzialne lub co najmniej nieprzemysłane.

Wracając do pracy Komisji nagród, która jest dyskusyjna, mam osobiste kilka uwag. Komisja ta powołana została przez zakonchczeniem wystawy, trwającej już trzy miesiące. Termin ten wybrany został przez radę młodych artystów (stwierdzone ujemnie, a pominięta przez przyznawaniu nagród brać pod uwagę tocząca się o niej dyskusja. Komisja najwidoczniej nie liczyła się z opinią krytyki, inaczej trudno wytłumaczyć dlaczego nagradzała prace zgodnie przez krytykę oceniane ujemnie, a pominięta przez Oberlandera, które były znów przez większość zaliczane do ważkich pozycji na wystawie. Błędem wydaje się również przyznanie przez komisję tak dużej liczby nagród. Moim zdaniem nagrody powinny być wskazywać te plenery, które podejmując ambitne poważne problemy ideowo-artystyczne potrafiły przekonać nas o żarliwej postawie artysty, czy też wykazać realne osiągnięcia plastyczne. Nagrody powinny być w wyróżnieniu stopniu mówić o politycznym charakterze wystawy, który niejednokrotnie był podkreślany w dyskusji. Tymczasem dokonany przez komisję wybór dwudziestu pozycji w malarstwie czyni wręcz przeciwnie, jak gdyby komisja nie angażowała się ideowo i tym samym zamazywała założenia wystawy „Przeciw wojnie, przeciw faszystom”.

ALEXANDER WALLIS
b. komisarz Wystawy
Mł. Plastyki

*

Przeczytałem list kol. Wallisa, który informuje, kto powołał komisję nagród i komisję zakupów na wystawie w Arsenale, z jakim założeniem pracowała komisja zakupów, jakie błędy popełniła komisja nagród, ile było pieniędzy na stypendia, nagrody i zakupy. Informacje te są ważne i słuszne, że zostaną opublikowane, wynika z nich bowiem, że nie można mówić o jakimkolwiek lekceważeniu wystawy młodych w Arsenale ze strony Min. Kult. i Sztuki, które przeznaczyło na stypendia i nagrody i zakupy tak znaczną sumę, nie mówiąc o kosztach urządzania wystawy. List ten napisał kol. Wallis po przeczytaniu artykułu Redakcji, w którym napisano, że jury potraktowało Marka Oberlandera lekceważąc, a nie mniej lekceważąc choć w inny sposób potraktowani zostali wszyscy młodzi plastycy biorący udział w wystawie. Dalej występują porównania sum, za jakie są zakupowane obrazy na innych wystawach, z górną granicą zakupów w Arsenale. Porównania te popierają opinię Redakcji, że miało tu miejsce jakieś lekceważenie.

Kol. Wallis wyjaśnia jednak, że komisja zakupów (wybrana przez zjazd młodych) przyjęła wniosek o zakup pracy u k a z d e g o wystawiającego. Sumy zakupów przy takiej koncepcji musiały ulec obniżeniu. Na wystawach ogólnopolskich i okręgowych nie k u p o w a n o u s z y t k i e h. W Arsenale kupiono o każdym kosztem obniżenia tzw. „cen wyjściowych” cennika oraz obniżenia cen zakupu prac, które wyróżniały się swoimi wartościami artystycznymi i zasługiwały na wyższą ocenę niż „cena wyjściowa” cennika.

4 P O P R O S T U

cho - fizycznym. Szło o jakiś tekst Kanta, który po przeczytaniu miałam możliwe wiernie powtórzyć. „Kolega” Peczenik notował докладnie wszystko, co zapamiętałam i uśmiechał się przy tym zachęcająco i aż nazbyt serdecznie. Obaj, zarówno Kant jak Peczenik byli mało interesujący. Jeden, bo niezrozumiały i nieludzko trudny, drugi, bo w zbyt łatwym uśmiechu ukazywał resztki zębów spróchniałych i starał się zasłaniać je ruchem wstydliwym i niemęskim. Mimo że znacznie starszy wiekiem i studiami przysłuchiwałam się z pokorą i uwagą, przydającym temu, co mówiłam rangę rzeczy odkrywczych, niezwykłych. Cóż, kiedy nie był ani urodziwy i barczysty, ani tajemniczy i brutalny, nawet jego ułomność (był kulawy) nie dawała się skojarzyć z urzekającym kalectwem lorda Byrona. Naodwrot — wszystkim w jego wyglądzie było jakieś kalekie, strzepliste i biedne — od nóg nierównych i wytartych nogawek do zębów i kapelusza... Choć... z tym kapeluszem było chyba inaczej. Wbrew wszystkiemu tego typu kapeluszem świata, praworządnie wkleśniętym i owalnym w kształcie — wybuchnął w górę stożkiem zuchwałym, straszącym niebo dziurą pokąną na samym wierzchołku. Kapelusze kolegi Peczenika był wyrazem niezbyt współcześnie zainteresowanego buntu, jak gdyby oskarżeniem skierowanym w górę, choć jak się okazało, właściciel jego nie niebo skłonny był oskarżać.

Zrozumiałam to nieco później. Spotkaliśmy się znów na wykładzie o miłości Słowackiego do matki. Uczenie i pięknie mówił o tym największy znawca wielkiego poety, mówił jakby rozumiały i wytłumaczyć chciał tę miłość niezwykłą, co zajęła miejsce tyłu innym miłościom. — Czy ma pan matkę — spytałam cichutko Peczenika, myśląc o tym, że jemu również powinna być sądzona taka miłość, wykluczająca ofiarę, zazdrość i zdradę. Skiniął i zaśmiał się swoim tłumionym chichotem, starając się wargami zasłonić nieestetyczne wnętrze ust. Nie powiedział jednak nic, bo taki już był, że własna osoba i wszystko, co jej dotyczy zdawało mu się niegodne niczyjej uwagi. Za to, kiedy wychodziliśmy oznajmił, że w eksperymencie z Kanta otrzymałam wynik zdumiewający: drugie miejsce po starszym asystencie profesora, znanym już

Zjawiał się na samym początku, jednego z pierwszych dni pierwszego roku akademickiego, kiedy w ciemnej wnęce korytarza czekałam na koniec wykładu. Na sali została czarna parasolka, żalobny rekwiwit po matce, na sobie nosiłam welon i czerń konsekwentną, przebarwoną z kolorów tak jeszcze niedawno cieszących oczy. Ta właśnie czerń, romantycznie kontrastująca z wyglądem zwiabła, jak mi to po chwili wyznał, dr Kropielnego. Oderwał się z pod jakiejś kolumny i zbliżał powoli niby medium: jak w śnie złowrobnym ostrzeżenie przed czymś, co na jawie bywa nieodwołalne. Nie byłam bojaźliwa, ale wierzcie, że spotkanie człowieka nieopancerzonego teorią ani praktyką z dr Kropielnym nie było łatwe.

Filozofia, którą głosił nie miała nic wspólnego z dwiema panującymi wówczas na uniwersytecie postawami. Franuś Mragowski, kolega gimnazjalny, który z pomocą Leosia Koeniga doznał do matury, ozdobił teraz kłapkę surduta mieczykiem Chrobrego i rozbił głowę takim jak Leos laską zakończoną żyłką. Wytłumaczono mu i uwierzył, że to właśnie Leos zagraża mocarstwowości Rolski i jest przyczyną wszystkich w niej mankamentów. Studenci po przeciwnej stronie znali wroga o wiele groźniejszego niż gromadka żydowskich i ukraińskich kolegów. Trapiące naród zło upatrywali w wadliwym mechanizmie państwa i o obalenie tego mechanizmu toczyli walkę. I oni również widnieli na liście proskrypcyjnej Franusia Mragowskiego jako wspólnicy Leosia w spisku przeciw Polsce narodowej i mocarstwu.

Znaliśmy z korytarza głosił filozofie własną, nie mającą nic wspólnego z tamtymi. — Mają, zasłona złudy, zasłania oczy śmiertelnych — mówił. — Nie ma świata poza mną, moje wyobrażenie o świecie jest światem. — A wyobrażenie o świecie miał niedobre. — Świat nie jest pomyślny dla ludzi — mówił. — Ludzie czują się w nim, jak ryby w studni. Jest niewygodny i statyczny, brak w nim miejsca i ruchu. Jakież cel może być godny ludzkiego wysiłku, skoro celem ludzkości jest nicność — Nirwana. Jedyną perspektywą jest wojna, bo potrafi zabić nudę i przyspieszyć cel życia na ziemi — śmierć.

— Gdyby tak pani wpadła pod ten tramwaj — powiedział i urwał, bo przechodziliśmy właśnie przez tor.

— To co? — spytałam.

— To jabym się na moment przestał nudzić, a pani osiągnęłaby swój cel.

Takie było moje pierwsze i jedyne spotkanie z dr Kropielnym. Na wydziale był figurą znaną wśród starszych studentów, choć studentem już pewnie od dziesięciu lat trudnoby go nazwać. Mówiono o nim, że przed laty był chłubą i nadzieją polonistyki. W jaki sposób i dlaczego z nadziei stał się postrachem, który ogromem bezytycznej wiedzy zdobył w ciągu kilkunastu lat przerażał nowowstępujących — o tym lepiej było nie myśleć.

Henryka Peczenika poznałam jako „osoba badana” w prowadzonym przezeń eksperymencie psy-

Koleżde Peczenikowi. — Cóż — tłumaczył mi to ze zwykłym w takich razach sarkastycznym spokojem — panna wojewodzianka ma pierwszeństwo. — Zczerniał jednak po tym i schudł jeszcze bardziej. Mówiono, że z tych sześćdziesięciu złotych utrzymywał siebie i matkę. Z korepetycjami, które wyszukiwali przyjaciele. Jakoś mu nie szło. Nie-dobry wygląd i hardość zrażały burżujskich wychowanków i ich rodziców. Ukrywał zresztą tę oideę, nigdy się na nią nie poskarżył, zdziaczał tylko i trudniejszy stał się dla ludzi, jak gdyby więcej niż dotąd dostrzegał w nich zła i fałszu. Tylko dla najmłodszych był po dawnemu łagodny, cierpliwy i serdeczny. Odpłacali mu zaufaniem i przywiązaniem. Należałam do tych, których darzył przyjaźnią, którym wybaczal nieuwagę, nietakty, zawody. Ale kiedyś — w końcu pierwszego roku akademickiego — zagadnięta przez niego w jakiejś przypadkowej jak gdyby rozmowie, w przypadkowy sposób, czy chce należeć do „antyfaszystowskiego koła” — wyraziłam zgodę.

Teoria, którą głosił przylegała do jego życia, jakby ją z własnej praktyki wykreślił. Na wiosnę dostał dyplom magisterski, śmieszny dokument, formalnie ważny, faktycznie o ileż gorszą stwarzający sytuację w porównaniu ze studentem, który może jeszcze żyć nauką i nadzieją. A teraz jeszcze ta śmierć, tak okrutnie nagła, taka straszliwie bez sensu, „za głupie dwieście złotych” — jak mówił Ignacy. Od niego to właśnie, który najbliżej był Peczenika dowiedziałam się o jego chorobie i o tych dwustu złotych, które szpital zażądał na lekarstwa. Nie zebrało ich w porę, bo wszyscy byli na feriach i o chorobie jego trwającej oddawna dowiedzieli się późno, bardzo, bardzo późno. Pieniądże, zaniesione nazajutrz do szpitala, nie były już potrzebne. Zmarło mu się w noc, w ciszy wakacyjnego zapomnienia, której nikomu nie zakłócił skargą o sobie, o swej chorobie zadawnionej, a skrywanej ze skromności czy wstydu, o swej przedśmiertnej samotności.

Pozostał już tylko pogrzeb. To bardzo dziwne: pogrzeb towarzysza Peczenika.

Ale tu, wbrew pozorom, nie była to zwykła śmierć. Umarł towarzysz, który chciał przeobrazić świat, ale padł w walce nierównej, u progu klęski narodu, która stała

jakąkolwiek pracę w jakiejkolwiek szkole, powszechnej lub średniej, w mieście lub na wsi. Przy każdym podaniu wisiły załączniki: uniwersyteckie dyplomy i bardziej niż one nieodzwonne zaświadczenia o tym, że kandydat był nienotowany przez policję (znaczy się lojalny wobec państwa-pracodawcy) i że jest oddpowiednio niezamężny (co nie przeszkadzało w praktyce otrzymywać „posady” właśnie zamężnym). Nie wiele tezek składało się z jednego podania z jedną serią załączników. Były to z reguły podania najmłodszych. Ogromną większość tworzyła seria z wielu lat i wielu dyplomów i zaświadczeń, z wielu ludzkich nadziei i zawodów, gorczy i upokorzeń. A wszystko to razem, dziwaczna grubość tezek i zawarta w nich ilość papieru, życia i uczuć ludzkich, wywodziły się z dwóch niepokąnych słówek, wypieczętowanych na odwrocie każdego podania: załatwione odmownie.

Dlaczego odmownie, na to podania, ani załącznik nie dawały odpowiedzi. Dyplomy bywały celujące, zaświadczenia nie budzące zastrzeżeń: wszyscy byli nienotowani i niezamężni, prawomówni i praworządni, czuli się obywatelami tego państwa, w którego chęci i obowiązki wobec siebie wierzyli.

Jedną z tezek należała do Jeremiego Kropielnego. Urodził się w r. 1900. Pierwsze podanie złożył w 1923 r. I odtąd pisał corocznie, a nawet częściej. W ostatnich latach podania przybrały formę listów, pisał je często, ostatni list pochodził z 1937 r., a więc pisany był w roku naszej znajomości.

Rozpoczął się zwyciężnie. Jeremi Kropielny, syn drobnego rzemieślnika (świadectwo ubóstwa wisiło obok) absolwent polonistyki prosił o pracę nauczyciela. Do pracy zmuszała go choroba ojca i trudne położenie rodziny, złożonej z ośmiorga osób.

W drugim podaniu — po roku — Kropielny był już magistrzem. Na pomoc rodziny nie mógł dłużej liczyć, póki studiował pomagali mu w nadziei, że potem on im odplaci. Posada stała się dla niego kwestią życia.

W dwa lata później Kropielny załączył dyplom doktorski. Podanie było pełne tryumfu i wiary w dyplom i w sprawiedliwość. Zdawało się, że poczuł się jak zapasnik, który po długich zmaganiach wytrącił przeciwnikowi broń z ręki.

Cios, jaki wtedy otrzymał był widocznie nieoczekiwany i mocny, bo następne podania przypominały już raczej wyznaczenia człowieka niewierzącego i nieszczęśliwego. Stopniowo przybrały one charakter dziwacznego pamiętnika, pisanego bez określonego celu, z jakiejś niewytłumaczonej potrzeby czy nawyku. Kropielny zwierzał się w nich z przeżyć i myśli, z których filozoficznego zamętu zdawał się rozpaczywie szukać wyjścia.

— Przez dziesięć lat byłem królem rodziny — pisał w jednym z „podań”. — Tron, który dla mnie zbudowali, zawalił się i przyniósł nas wszystkich, lecz kto temu winien? Kto kogo oszukał: czy ja rodzinę, czy rodzina mnie, czy ktoś jeszcze inni oszukał nas obydwoje? Ojciec mój, że wszystkiemu winni są Żydzi, bo gdyby nie warsztat Reislera na tej samej ulicy to miałby podwójną ilość klientów. Ale syn tego Reislera jest taki sam filozof na własny użytek jak ja. Więc gdyby nie ten Reislerek-filozof czy ja miałbym dwa razy więcej do roboty niż mam? 2 x 0 = 0.

W innym miejscu: — W domu mówią, że pewnie dlatego nie dostaje posady, bo jestem komunistą. Znam jednego komunistę. Co chodzi oberwany jak święty. To po co być komunistą? Więcej rozsądku wydają mi się mieć ateści. Stwierdzenie kryzysu wiary — winno stać się wyznaniem wiary najmniejszych. Kiedy z myśli tej zwierzyłem się kilku znajomym w ucełni, dostalem od jednego z nich czymś ostrym po głowie. W szpitalu leżałem obok prawnika, który nazywał tamtego faszystą. Wydawał się bardzo rozsądnym, ale kiedy powiedziałem mu, że światem rządzi chaos, przestał ze mną dyskutować. Rozstaliśmy się oboje.

Najmłodsza z sióstr mówi: — I co z twojej nauki? Ja wyjdę na ulicę i choć nieuczona zarobię parę złotych. A szwagierka dopowiada: Poszedłbyś odsiedzieć za Wacława. On choć i cudze, ale do domu przyniesie i geby nakarmi. — A ojciec, którego pokreśli reumatyzm i leży jak konar obcięty dodaje: — Zostawcie go, przecie widziecie, że to łachman gorszy ode mnie.

A w jednym z ostatnich „podań”: — Warsztatu ani ojca już nie ma. Teraz wszyscy indywidualnie wyruszają na żer. Wacek radzi, żebym kradł. A ja i owszem. Zasad w tym kierunku nie mam, ale nie mam również talentu. Przestał mnie traktować poważnie i nic mi więcej nie proponuje. Jedzenia również.

I w ostatnim: Zastanawiam się, czy istnieje coś, co miałbym prawo nazwać sobą, i jakie mógłbym przedstawić na to dowody. Cogito, ergo sum — powiedział filozof starożytny. Ach, te myśli robaczywe, daruję wam je wszystkie. Znajdźcie dla nich zatrudnienie.

Tak jakoś urywał się ten dziwny dokument. „Załatwione odmownie” widniało również na ostatnim podaniu. I wtedy to widać odeszły oden ostatki poplątanych myśli i pozostał ów cień nieruchomy, zapatrożony w dal oczami martwymi, które już niczego nie potrafiły dojrzeć.

P. S. Podania Henryka Peczenika nikt z nas nie odnalazł. Ten widocznie nie miał żadnych pod adresem państwa złudzeń ni nadziei.

MARIA CZANERLE

Dr Kropielny i inni

filozofie. Postanowiłam więc zostać naukowcem i życie zdało mi się łatwe i pełne możliwości. Z tego wniosku zwierzyłam się koleżde Peczenikowi, który zachichotał, spożwiał, a w końcu zaprzeczył. — „Życie jest walką” — powiedział. I dodał jakby do siebie: — „Walka klas”. — Wiedziałam, że nie ma na myśli klas, z którymi do niedawna miałam do czynienia. Szło z pewnością o co innego, trudnego pewnie jak Kant, i dlatego wołałam nie pytać. Siłniamy bowiem corsem ruchliwym i barwnym, migocącym od strojów i twarzy złotych i pięknych. A obok pań strojnych panowie wytworni i noszący się z wdziękiem filmowych aktorów, a najpiękniejsi ze wszystkich — smukli i sprężysti, od gwiazd i epoletów lśniący i mocarstwowi — oficerowie.

— Piękni, co? — spytał kolega Peczenik zauważywszy blask i kierunek mego wzroku.

— No.

— A w defiladzie, czy widziała pani, jak pięknie maszerują w defiladzie? A w boju? Czy widziała ich pani kiedy w akcji? Prawda, gdzieżby ich pani mogła widzieć. Są mężczyźni jak Podbiępieta, kiedy ścinał głowy saracenom. Niedawno widziałem ich przy pacyfikacji wsi ukraińskiej...

Kulał rytmicznie, miarowo postępując laską. Jego słowa zawierały przedziwnie prostą i jasną, oddawaną jakby znaną arytmetykę spraw życia, ulicy, ludzi. Tego wieczoru otrzymałam pierwszą lekcję marksizmu.

Kolega Peczenik nie był jednak najlepszym agitatoremd dla wieku, kiedy prawda i sprawiedliwość są równoznaczne z pięknem, a bryzdotadociera do wyobraźni, lecz nie do rozumu i serca. Pewnie dlatego bliższa — może nie sercu, lecz zainteresowaniom — była Oleńka G., córka wicewojewody, jedynaczka bogata i wesoła, na uniwerku szukająca szczęścia. Hulający więc beztrudno w dostojnych murach uczelni i poza nimi, aż brnąć w zapomnieniu ocknęliśmy się nad przepaścią — w przedziwnie wiosennych egzaminach. Oleńka poszła na wariata i tragicznie obłąła. Ja znalazłam wybacze. Zjawiał się w chwili przedostatniej, wytłumaczył, nauczył. A kiedy zdałam na piątkę chichotał głośniej i mocniej śliniąc się niż zwykle. Oleńka nie pozazdrościła mi sukcesu, bo w kilka dni potem — i ja również spotkała niespodzianką. Dostała stypendium. Równocześnie cofnięto stypendium

się początkiem wielkiego, historycznego przeobrażenia. Umarł jednak śmiercią naturalną i praworządna, o której nie można było nawet napisać ponurej i chłoszczącej klepsydry: zamordowany przez faszystowskich zbirów. Szło się więc legalnym konduktem, w towarzystwie kilku profesorów, ze starszą-matką, malutką i taką niepoważną, którą prowadził Ignacy. Szukałam wśród twarzy zaciętych i smutnych takiej, która byłaby mu więcej niż towarzyszem i przyjacielem, lecz nie znalazłam. Nawet matka miała oczy skierowane nazewnątrz, trzpiotliwie rozbiegane, osiadające z podziwem na reprezentacyjnych postaciach profesorów i na marmurowych, co okazalszych nagrobkach, które mijaliśmy w pośpiechu. I wzrok jej gasł w miarę jak oddalał się od alei bogatych i zbliżał do nędżnie zabudowanej dzielnicy, gdzie pod murem, wśród mogił świeżych i wykłetych przez prawo, miał spocząć jej syn.

Niebo od południa coraz chmurzejące zawisło nad nami nisko szary-burymi chmurami. Powietrze nasycił półmrok zwiastujący burzę. Pięść podniosły się same nad grobem, w miejscu przywykłym do znaku krzyża, i zamiast księżej intonacji zabrzmiła pieśń.

— Wykłęty powstań ludu ziemi...

Przerwano ją nagle. Z nieba lu-neło kropkami jak kule, a z poza drzew i grobów wynurzyli się nowi „uczestnicy” obrzędu, pałkarze dowojacy, „koledzy” i policjanci. Scigani i bezbronni rozprzeczli się między grobami, unosząc jak sztandar ostatnie słowa pieśni:

— Bój to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud, gdy uścisk nasz bratni ogarnie ludzki ród.

Nikt z nas nie myślał wtedy, że stanie się to tak prędko. Minał za ledwie rok od śmierci towarzysza Peczenika, kiedy nowa władza powierzyła nam, grupie studentów i nauczycieli, do uporządkowania dokumentację kuratorium lwowskiego okręgu.

Sala, w której pracowaliśmy we czworo nie miała sprzętów, tylko cztery ogromne, wysokie i szerokie, od podłogi do sufitu zastawione półkami ściany. Na półkach, oznaczonych cyferką alfabetu niezliczona ilość tezek-skoroszytów, grubych i cięszych. bo każda tezcza to był człowiek i jego sprawy, grube i cieńsze. Człowiek, absolwent, magister i doktor filozofii prosił o

Słowo o Jakubie Szeli

W białe noce, od rżysk i gumien,
porośniętych i mchem i mgłą,
pozbiierałem tę pieśń, jak umiem
i przynoszę skrwawioną i złą.

Rozhuśtała już jesień tysiącem batut
krzywe wierzby nad stawem w takt żabich gam
na ostatni fałszywy czerwieni atut
dzisiaj ze śmiercią w durnia gram.

Może jutro już przejdzie traktor
po tych polach jak łaty płacht,
przyjdzie zmierzch — czarnobrody faktor —
weźmie ziemię w swój czarny pacht.

I na dziesięć mil w krag, czy na sto
Kędy lan się pod sierpem kładł,
wstanie wielkie kamienne miasto,
nieprzejrzany, sześcienny sad.

I gdy znowu się noc rozgwizdni
w białej mszy księżycowych płam,
będą zwisać nad ścieżką jezdni
ciężkie jabłka lukowych lamp. —

Kiedys wiosna otworzy na ścieżach
pestki nero rozlupane przez pól,
zasłaziemy przy jednej wieczorzy,
będzie ziemia, jak jeden stół.

Na ten dzień — pokłon jutro od dzisiaj —
trzepocąca się we krwi jak karp,
na glinianej przynoszę wam misie
tę złą pieśń — mój największy skarb!

✱

Latała, krzyczała
siwa gęś nad wodą:
Nie zmwajajta się po karczmach,
idźta, chłopcy, do domi!

Trzepotał, klekotał
kary kur na grzędzie,
Nie zmwajajta wy się chłopcy,
nic z tego nie będzie!

A ty wódko-ciotko,
pokuśnłco czarciu,
nie namawiaj ty ich na złe
za tę miskę żarcia.

A wprzód ty się, wódko,
w pańskich kadziach zaśmierdź
Jak ich zajdzie pan ekonom,
pozabija na śmierć.

✱

Jak wstawalo słońce — mak ten,
co na śniegu rozkwitł —
wyszłedł Szela światem — traktem
do sąsiedzkich wiosk — zwid.

Usiadł w polu buty przezuć,
uszedł dalej jeszcze.
Aż się spotkał z nim Pan Jezus
na smarzowskiej ścieżce.

Jak go poznał Szela nad dziw,
sklonił mu się po pas:
„A dokąd też Bóg prowadzi,
Ze aż u nas popas?”

To nie słowo młodem technie z ust,
jako flet z kapeli,
to skłaniając się Pan Jezus
odpowiada Szeli:

PRZERAŻENI i oburzeni Francuzi patrzyli jak dzień po dniu na łamach L'Humanité nieznanego cudzoziemiec od-
dawał płomieniom stolicę świata. Szpalty gazet przera-
żały zasiedziających rentierów potworną wizją zagłady od
zarazy i ognia.

Nieznanego cudzoziemiec z bezlitosną, prawie inkwizytorską,
pasją oczyszczał grunt pod budowę socjalistycznej republiki
paryskiej. Płomienie pożaru przerzuciły się gwałtownie na
część zachodnio-europejskich gazet robotniczych, aby nagie
wybuchnąć 10 000 nakładem książkowym w Radzieckiej Rosji.
BRUNO JASIEŃSKI, podpalacz stolic europejskich, prze-
chodził, jak to mówili ówczesni krytycy, długą terminator-
kę poetycką u Siewierianina, Majakowskiego, Jesienina.
W jego wczesnych tomikach (Pieśń o głodzie), (But w bu-
tonierce) szczególnie mocno usłyszeć można, czasami nawet
wbrew autorowi, głos tych poetów. Mimo to, Jasieński
wnosi ogromną ilość własnego „ja” do współczesnej wersy-
fikacji poetyckiej. Jego asonanse i aliteracje należą do naj-
bardziej wyrafinowanych, a jednocześnie trafnych, we
współczesnej mu poezji. Szalona pomysłowość w tworzeniu
metafory dochodził czasami do punktu, gdzie o krok grani-
czy z niebezpieczną barokowością. Pozorną barokowość

„Mało — wiele drogi-m ubiegł,
choć idę z bliska.
Odpowiedzieć mi Jakubie,
gdzie tu wiesz Siedliska”.

„Tam, gdzie most się z rzeką mijał,
co pokryła kra ja,
ponoć chłopcy panów biją,
pilami ich kraja.”

Już mi w nóżkach drzazg jak os tkwił,
krwawi rana, góźdz gdzie,
a tam pono krwi po kostki
w każdziuteńkiej brudzie.

„Jedną drogę Bóg nam zdarzył,
co ja miedzą skracasz —
powiedzcież mi gospodarzu,
czy tam zdążę na czas.

„To nie topól w niebo strzela,
to nie pohuk sowy —
Odpowiada Jakub Szela
Panu Jezusowi:

„Dobrze snadź kto komu krzyw gdzie
wiedzą pańskie posły
kiedy słuchy o ich krzywdzie
już do nieba doszły.

„A i wielki musi wlatier
z tego w niebie pnie gnie,
klej aż sam Pan Jezus światem
im na pomoc biegnie.

„Nie biegałeś, jak się naszych
krzywd przelała kwarta!
Widać garnca pańskiej kaszy
chłopska krew nie warta.

„Unieś suknie po kolana,
stąpaj pomalutku,
bo tu naszą krwią polana,
każdziuteńka gładka.

„Nie cenileś ty krwi chłopskiej
za złamany szeląg? —
Czemuże się Panie Jezu
tak o pańską przelał?”

„Co się stać ma, to się stanie,
przyszły raz te dnie choć!
Ale ty, przeświety Panie,
dziś tam lepiej nie chodź.

„Po co ci to z chłopską nędzą
w twarz się spotkać twarzą?
Dziś tam z krwi tej, co ją pędzą,
tęgie piwo warzą.

„Nam ta swego raj u nie raj —
z tżyś go złepil naszej!
Idźże lepiej z pozbierać
i na kubrak naszyj.

i „rąbaną” metrykę czterowiersza rozbiła poeta od wewnątrz
drastycznymi, brutalnymi motywami „z kroniki ulicznej”,
jak to wówczas określano.

Jeden z najlepszych utworów Jasieńskiego „SŁOWO O JA-
KUBIE SZELI” (1928 r.) staje się programową pozycją le-
wego frontu ludowego w międzywojennej Polsce. Rewizja
buntu galicyjskiego, zakłamanego przez historyków, rewizja
poparta wysokim kunsztem poetyckim, sprawia, iż nazwisko
jego zaczynają w owym czasie wymieniać jednym tchem
z nazwiskiem Broniewskiego. Sprawa Szeli to nie tylko
sprawa rewizji przeszłości. To stawianie wyraźnych postula-
tów pod adresem współczesności. Szczególnie mocno zazna-
cza się to we wstępie i zakończeniu.

Bruno Jasieński poza oryginalną twórczością jest jeszcze
świetnym tłumaczem (szczególnie wierszy Majakowskiego).
Wspólnie z Watem i Sternem przyczynił się do gruntownej
rewolucji ideowej i formalnej nowych poetów rosyj-
skich. W planach swoich mamy zamiar oprócz drukowa-
nych tu fragmentów „Słowa o Jakubie Szeli”, dać w naj-
bliższym czasie wybór wierszy z innych tomików tego in-
teresującego poety.

„Białe rączkis przykrył komża,
nie splamił-ś ich pracą
Dzisiaj chłopcy takich wiążą
tylko gdzie zobaczą.

„Wnet tu spełzną się jak glist rój
skarżyć ci na kij mój.
Idźże, bramę dla nich przystroj
i w swój raj ich przyjmuj.

„Lepiej gwiazdkę za nich zaświeć
byś się o nich nie bał —

I zawrócił Szela na wieś,
a Jezus — do nieba.

✱

Szedł śnieg. Brał mróz.
Biegił zbieg. W mróz wrósł.
Z ust krew — as kier.
Z nar krew mgła skier.

Tańcowali w tyl i wprost,
kto po lodzie, kto przez most,
od Smarzowy aż do Siedlisk,
poszły w tan gałęzie jedlisk.

Tańcowali z chłopem pan
mleczkiem — boczekiem koło ścian.
Tańczył radca tańczył dziedzic,
żaden nie chciał w miejscu siedzieć.

Tańcowali zęb o zęb —
z sieni oknem i na klomb.
Tańcowali z góry na dół
coraz któryś w tańcu padał.

Tańcowali raz po raz
chłopska kosa, pański pas,
od ogródka do ogródka
ciekła rowem krew jak wódka.

Tańcowali — z panem pień.
Była noc jak biały dzień.

Gdzie kończyli taniec —
cały dwór był na nie,
brali panów rankiem,
kładli ich przed gankiem.

A wieczorem — zmierzchem
jechał księżyc wierzchem,
w srebrnych był sandałach,
siwy pod nim walał.

Gdzie za dworem kepa,
zwalniał konia stępa,
Gdzie schłustała krew je,
skręcał z pól na rewie.

✱

Nim odkwitła stokroć
na zielonej darni,
przyjechał zabrać Szela
tarnowscy żandarmi.

Uciekała nocka
po zielonej łące,
jak wkładali mu na rączki
kajdanki dzwoniące.

Jak go prowadzili
wzdłuż tych czarnych sztachet,
wysypała cała wieś się
z placem zanim szła heł.

Jak go prowadzili
pod ten biały kasztan,
zakapały z nieba gwiazdki,
toczyły się aż tam.

Jak go prowadzili
łamta kładką giętą,
wyszyły ryby na przerebel
łowić ludzi wędką.

W całej rzece wielki
narobił ruch tem,
jak po lodzie jak te kundle
biegły za nim truchtem.

Jak go wiedli bagnetem,
tym, co śmierci dar ma,
wyszli wilcy, zjedli w lesie
jednego żandarma.

A jak z nim mijali
ten uschnięty modrzew,
popędzały go żandarmy,
mówiły mu: chodźże!

„Modrzewiu, modrzewiu,
malowany dziadku,
pilnujże mi tego lasu,
daję ci go w spadku.

„Pilnuj mi go, pilnuj,
jak jaworu powój,
przyjdzie czas, że twych gałęzi
trza nam będzie znów.

„Idźta, chłopcy do dom,
nie trza stać markotnie,
przyjdzie wiosna tylko patrzeć,
drzewom paki potnie.

„Wyjdą w pole dziewczki
plewić chwast rumianek.
Sielne zboże wszędzie latoś,
pańską krwią rumiane.

„Sielśwa na cudzem,
ruń nam rosła smętina,
Będziem zbierać chleb na własnem,
każde ziarno — centnar,

„Ciarachy, ciarachy,
nie być z wami zgodzi!
Przedź ogień przyjdzie latem
upić z studni wody.

„Choćbyście zorały
trakt ten, gdzie mój dom stał,
czarnym kłosem na tej ziemi
wzrośnie na was pomsta.

„Choćbyście mi na nim
zboże na pniu żeli,
nie zapomni wieś — gęsiarka
kolodzieja Szeli.

„Darzyła się ruń nam,
wystraszył się los tem,
wyszłedł chłop na oborę,
chlusnął z wladra postem.

„Skończył się nasz zapust,
Dalej, pany, jedziem!
Zwisnął chłop na szubienicy
popielcowym śledziem,

(Dokończenie ze str. 2))

crokiem osiągał zrozumienie tego,
że polityka „nieinterwencji” w
Hiszpanii, polityka tolerowania a-
gresji włoskiej przeciw Abisynii,
że wreszcie polityka monarchijska
były zdradą interesów ludu an-
gielskiego. Doprowadziło go to do
zrozumienia roli pewnych kierun-
ków filozoficznych w procesie de-
prawowania opinii publicznej, któ-
rą ich pseudo-hermetyczna działal-
ność odwracała od aktualnych za-
gadnień współczesności.

„Wiem teraz — pisał Collingwood w
ostatnich wierszach „Autobiografii” —
że drobną filozofowie (tak nazywał idea-
listów — przyp. mój — KP) chociaż mó-
wili o sobie, że są pograżeni w czystej
nauce i nie mają nic wspólnego z prak-
tyką, byli propagatorami postępującego
naprzód fałszywu. Wiem, że cnie swe
zycie, nie zdając sobie z tego sprawy,
bratem udział w walce politycznej wal-
cząc w ciemności przeciwko tym siłom.
Odtąd będę walczył przy świetle dzien-
nym”.

To właśnie sformułowanie dało
Cornforthowi asumpt do następują-
cej oceny Collingwooda: „Był to
jeden z angielskich filozofów burżuazyj-
ny, który zaczął rozumieć, chociaż
dopiero pod koniec swej kariery,
reakcyjną treść społeczną tego, co
na uniwersytetach uchodziło za fi-
lozofię. W tym sensie zbliżył się on
do marksizmu znacznie bardziej, niż
którykolwiek inny filozof angielski
spółrędny jego poprzedników lub na-
stępców”.

W przeciwieństwie do Collingwo-
oda, który zajmował się przede
wszystkim problematyką historycz-
ną, Alexander i Whitehead poświę-
cili się uogólnieniu osiągnięć nauk
przyrodniczych. Samuel Alexander
w swej podstawowej pracy wypro-
wadzał z przyrodoznawstwa wnioski
o zupełnie jednoznacznym charakte-
rze filozoficznym. Uważał on mia-
nowicie, że świat, który poznajemy
i w którym żyjemy, istnieje niezau-
ważnie od naszej świadomości, nie-

zależnie od jakiegokolwiek w ogóle
świadomości. Uznawał on byt za
pierwotny wobec myślenia, materię
za pierwotną wobec ducha. Jego
zdanem nieskończony wszechświat
znajduje się w procesie ciągłych
przemian, w procesie ciągłego prze-
chodzenia od jednego stanu jakoś-
ciowego do innego, od jednej for-
my ruchu do innej. Życie i rozum
są, jego zdaniem, takimi właśnie ja-
kościami właściwymi określonej
formie ruchu materii.

Jednakże byłoby wielkim uprosze-
czeniem traktowa-
nie Alexandra ja-
ko konsekwentne-
go materialisty. W
jego filozofii wy-
stępują niewątpli-
we elementy me-
tafizyczne i mi-
styczne (w niniej-
szym szkicu trud-
no o nich oczywiście szerzej mó-
wić).

U wszystkich to wspomnianych
filozofów rozumienie procesu histo-
rycznego było całkowicie idealistycz-
ne, co tylko potwierdza tę praw-
dę, że materialistyczne rozumienie
działów możliwe jest jedynie na
gruncie nauki marksistowskiej.

Zarówno w wypadku Alexandra
jak i Whiteheada mamy do czynie-
nia z próbami zastąpienia materia-
lizmu mechanistycznego, nie tłuma-
cącego zjawisk, które stały się zna-
ne w wyniku odkryć współczesnego
przyrodoznawstwa, przez nowy ma-
terializm dialektyczny. W obu tych
wypadkach jesteśmy także świadka-
mi klęski tych prób, uwarunkowa-
nej klasowo ograniczonym stanowi-
skiem obu myślicieli.

„Jednakże — pisze Cornforth — uogól-
niając ocenę z filozofii Whiteheada (a
odnosi się to w większej mierze do
Alexandra — KP) nie możemy odru-
czyć jej jako bzdury, tym bardziej jako
bzdury reakcyjnej. Był on (Whitehead
— KP) prawdziwym uczonym i postępowym
myślicielem, który potknął się, był mate-

rialistą, który dostał się w zle towarzy-
stwo metafizyków”.

Stoimy więc w obliczu myślicieli
bardzo złożonych i trudnych. My-
ślicieli, którzy przyjmowali i dowo-
dzili słuszności podstawowych zało-
żeń materializmu a równocześnie nie
umieli rozciągnąć tego materializmu
na dziedzinę gnoszeologii, myślicieli,
którzy walczyli, lub inspirowali wal-
kę przeciwko subiektywizmowi, a
równocześnie nie przyznawali się do
wiedzy z filozofią materialistyczną,
myślicieli, których zrozumienie u-

Tylko jeden proces?

trudnione jest przez specyficzny
właściwy im żargon. Tym większą
jest zasługa prof. Cornforth, że
wyłamując się z okowów dogma-
tycznego stanowiska, dla którego
świat dzielił się na czarny i biały,
a filozofowie na bardzo dobrych i
bardzo złych, zbadał poglądy tych
mało znanych nam dotychczas my-
ślicieli i wyciągnął z tego wnioski
o dużym znaczeniu dla badań nad
burżuazyjną filozofią epoki impe-
rializmu.

KILKA HIPOTEZ I WNIOŚKÓW
Teraz, „gdy przebrnęliśmy już
przez gęste zarośla filozoficznych
dżungli, możemy spokojnie zreka-
pitulować przebyta drogę i wyciąg-
nąć z niej wnioski.

Pierwszym wnioskiem, który się
tu nasuwa, jest stwierdzenie ist-
nienia linii materialistycznej we
współczesnej filozofii burżuazyjnej.
Zasługą przedstawicieli tego kie-
runku, nazwę ich materialistami
burżuazyjnymi, jest przede wszyst-
kim poddanie krytyce aktualnych

idealistycznych teorii filozoficznych.
Słabość ich natomiast przejawia się
z miejsca, w chwili, gdy zabierają
się oni do tworzenia systemów po-
zytywnych. Dlatego chyba jeden z
przedstawicieli tego kierunku, Gil-
bert Ryle, w ogóle nie zajmuje się
zagadnieniami pozytywnymi, po-
święcając się wyłącznie krytyce neo-
pozytywizmu i pozostawiając w sta-
nie otwartym problemy, co do któ-
rych dowiódł niesłuszności neopozy-
tywistycznego, subiektywno ideali-
stycznego rozwiązania.

Niewystarczalność takiej czysto
negatywnej krytyki, nawet gdy pro-
wadzona jest ona w oparciu o mi-
cząco przyjęte założenia materiali-
styczne, jest oczywista. Słabość bur-
żuazyjnych materialistów i ich kry-
tyki polega jednak nie tylko na
tym. Wyrazem jej jest także ich izo-
lacja na froncie filozoficznym. Pod-
czas gdy idealisci występują zrę-
szeni w szkołach, których członko-
wie popierają się wzajemnie, kry-
tycy występują jako wolni strzelcy.
Toteż nawet gdy rażą oni celnie
swoich przeciwników, ciosy te są
zbyt słabe, by doprowadzić do ich
całkowitego zdyskredytowania.

Jakkolwiek słabi są materialisci
burżuazyjni, sam fakt ich istnienia
świadczy, że idealizm nie może o-
siągnąć pełnego zwycięstwa nawet
w burżuazyjnej filozofii epoki im-
perializmu. Okazuje się bowiem, że
idealizmowi przeciwnicy nie są nie-
tylko marksizmi, ale pewne kie-
runki, które Cornforth określa jako
rodzące się między materializmem

a idealizmem, kierunki, które są
wrogię idealizmowi, ale które nie
stają się w pełni materialistyczne.
Jeżeli tak jest, to wydaje
mi się, że można stąd wy-
prowadzić wniosek o istnieniu
dwóch frontów w dzisiejszej filo-
zofii. Frontem zasadniczym jest
oczywiście front walki materializ-
mu dialektycznego z idealizmem
wszelkiego typu oraz z różnorod-
nymi przedstawicielami niekonse-
kwentnego materializmu. Drugi
front natomiast to front walki wła-
śnie tego niekon-
sekwentnego ma-
terializmu prze-
ciwko idealizmo-
wi. Jak widać z te-
go, co zostało po-
przednio powie-
dzone, front ten
jest bardzo słaby,
ale jakkolwiek jest

słaby, istnieje i nie można go ne-
gować.

Wydaje się także, że z faktu ist-
nienia tego „drugiego frontu” wy-
nika postulat wykorzystania przez
nas w walce filozoficznej prowadzo-
nej przeciwko idealizmowi jego o-
siągnięć. Powinniśmy w tym wy-
padku brać przykład z Lenina: „Ma-
terializm a empiriokrytycyzm” jest
bowiem świętą szkołą polemiki
filozoficznej, w szczególności szko-
łą wykorzystywania wszelkich gło-
sów krytycznych, pochodzących z
przeciwległego obozu filozoficznego, dla
osiągnięcia pełnego zwycięstwa nad
aktualnym przeciwnikiem w filozo-
fii.

Kształtowanie się nowej, dwu-
dziesiętowiecznej formy „wstydlive-
go materializmu” jest również kolej-
nym potwierdzeniem słuszności zre-
gu te, wysuwanych przez klasy-
ków marksizmu. Tak na przykład
znana jest teza Lenina, że przy-
rodokształtowanie rodzi materializm i
dialektykę. Okazuje się, że proces

ten przejawia się nie tylko w po-
staci istnienia nieświadomionego,
żywnolowego materializmu przyrod-
ników. Nacisk faktów naukowych
jest tak wielki, że zmusza uczci-
wych burżuazyjnych filozofów do
porzucenia bezpodstępnych spekulacji
i do prób uogólnienia dorobku nau-
ki, zaś uogólnienia te, jakkolwiek
jest wola filozofów, albo muszą być
materialistyczne, albo okazują się
niesłuszne. Tertium non datur.

Wszystkie te zjawiska zmuszają
do przekształcenia istniejącego u
nas stosunku do współczesnej bur-
żuazyjnej filozofii. Metoda potępia-
nia całego dorobku burżuazyjnych
myślicieli, metoda głołosłownego de-
klarowania, że w filozofii burżu-
azyjnej istnieje tylko jeden proces, a
jest to proces rozpadu gnilnego, ta
metoda okazuje się skompromitowa-
na na całej linii. Jej miejsce po-
winno zająć konkretnie podejście do
burżuazyjnych filozofów.

Wydaje się, że znaczenie artyku-
tu prof. Cornforth wykracza dale-
ko poza dziedzinę badań nad wy-
słią filozoficzną współczesnej bur-
żuazji. Artykuł ten zmusza do za-
stanowienia się nad całokształtem
naszego stosunku do takiego czy
innego dorobku Zachodu i do kry-
tycznego zastanowienia się, czy jest
w tym dorobku coś dla nas cenne-
go i wartościowego, a jeżeli tak, to
co. Praca ta jest szczególnie trud-
na, a równocześnie szczególnie wa-
żna w naukach humanistycznych.
Konieczność różnicowania burżu-
azyjnych naukowców wydaje się
równie istotna dla filozofa jak i dla
historyka czy filologa. Ta ostatnio
bardzo często powtarzana u nas
prawda w artykule prof. Cornforth
znajduje nowe potwierdzenie.

KRZYSZTOF POMIAN

Spotkania w czystości

cia, o dyskusyjnych problemach biologii, o współczesnym filmie, o religii itp.

REFLEKSJE

rostopa jest matką organizacyjnej mądrości. Kto nie wierzy, niech popatrzy na niektóre przedsięwzięcia naszych działaczy. Tak proste pomysły, jak uwzględnianie intelektualnych potrzeb studentów, odrobina własnej inwencji oraz łut entuzjazmu, dają zazwyczaj w efekcie bogactwo rezultatów. Własny pomysłunek jest, jak wiadomo, twórczą antytezą instrukcji.

Prostopa jest matką mądrości. Dotyczy to także spraw skomplikowanych i trudnych.

OBRAZEK PIERWSZY

Na początku były afisze: „Czy można pogodzić naukę z religią”. Miano się zebrać w salonie Domu Studenta Uniwersytetu Warszawskiego. Spragnionych dyskusji przyszło około dwustu. Kłócono się jeden wieczór. Wszystkim było tego mało. Kontynuowano dyskusję w następnym tygodniu. Padaly zabawne propozycje: by wyznaczyć dwóch reprezentantów, którzy będą prowadzić cały spór. Zajmowano stanowiska pro, contra i „neutralne”. Wymyślano sobie od ignorantów, zarzucano wzajemnie poglądy, do których atakowani nie przyznawali się. Ale były też autentyczne spiecia, rozwijano własne i cudze koncepcje. Przeprowadzano małe ideologiczne ofensywy i odpierano kontrataki. Denerwowali się nawet pozytywiści, usiłujący bezskutecznie zająć centrystowskie pozycje. Dyskutanci i wszyscy w ogóle uczestnicy byli niewyczerpani — trzeba było ograniczać listę zgłoszonych do głosu. Wieczór był udany — stwierdzali z zapalem studenci.

OBRAZEK DRUGI

Uniwersytet Jagielloński. Czwartek, godz. 18.00. W sali 52 zbierają się ludzie — będzie dyskusja w Studenckim Klubie. Temat: moralna wartość religii. Punktem wyjścia — artykuły z „Dziś i Jutro”, „Tygodnika Powszechnego” i „Po prostu”. Obecni są wszyscy trzej autorzy. Zainteresowanie bez precedensu w ostatnich latach UJ. Sala napelniona po brzegi — około 300 osób. Część zainteresowanych odchodzi od drzwi — nie ma już miejsc. Na sali studenci, asystenci, nawet profesorowie: Bobińska, Grzybowski, Pasenkiewicz, Waldenberg. Wielu ludzi spoza UJ — z Politechniki, z „miasta” itp.

O 18.10 zaczyna się dyskusja. Nie, to nie jest tylko dyskusja. To jest walka. I choć wystąpienia nieraz banalne, bez większej wagi intelektualnej — a jednak wszystkie przeżyte, osobiste. Argumenty zaprawione namietnościami. Sala klaszcze, wybucha śmiechem — słucha i uczestniczy. Najpierw głos studentów i asystentów — później autorzy. Potem znów głosy z sali — i na końcu odautorskie podsumowanie. Ostatnie kończy się o 23.35. Zebranie trwało 5,5 godziny. Przeniosło się później do domów studenckich, uniwersyteckich sal. W liście do Redakcji jeden z uczestników pisze: „O dyskusji ciągle głośno. Wszyscy nieobecni żałują, gdziekolwiek by nie byli tego wieczoru”.

OBRAZEK TRZECI

Aula SGGW: Ma być dyskusja o szczęściu — poprzedzona odczytem. Przychodzi około 200 osób, mimo że impreza nie jest tak atrakcyjna jak w Krakowie czy na UW. Po wprowadzeniu prelegent zasypany pytaniami, niektórymi dyskretnie podanymi na kartkach. Wiele z nich ma charakter bardzo osobisty, serdeczny, naiwny, są też zasadnicze, dotykające podstaw światopoglądowych. Na sali wywiązuje się krótka polemika wokół zróżnicowania terminów: szczęście a radość, staje problem celu i prawdy życia. Potem długa odpowiedź na litanie pytań. Znow dyskusja, o większych znamionach konkretności: jeden ze studentów mówi o pustce, w jakiej znalazł się przy pierwszym zerknięciu z przyszłą pracą zawodową na 7-miesięcznych praktykach. O tym, że miał wszystkiego dość, gdy zobaczył stan gospodarstwa, do którego został skierowany. Że zupełnie rozbroił go brak perspektyw i brak pomocy. Że podobnie jest w gruncie rzeczy na uczelni, gdzie marnuje się tysiące godzin na złe organizowanych akcjach społecznych. Odpowiedziano ostro: młoda dziewczyna, pewnie z I lub II roku, z pasją mówiła o samodzielnosci, o szczęściu w pokonywaniu przeszkód. Ale czy rozwiązała tym bolesny i trudny problem?

Ponieważ była to inauguracja pracy klubu dyskusyjnego, jego organizator z ramienia Katedry Podstaw Marksizmu-Leninizmu, tow. mgr Henryk Dominas prosił o podawanie kartek z tematami, interesującymi uczestników. Było tego sporo: o postawie i celu postępowania zetempowca, o miłości i studenckich małżeństwach, o „szczęściu w przyszłej pracy zawodowej”, o celu ży-

J. KUCZYŃSKI

SPROSTOWANIE:

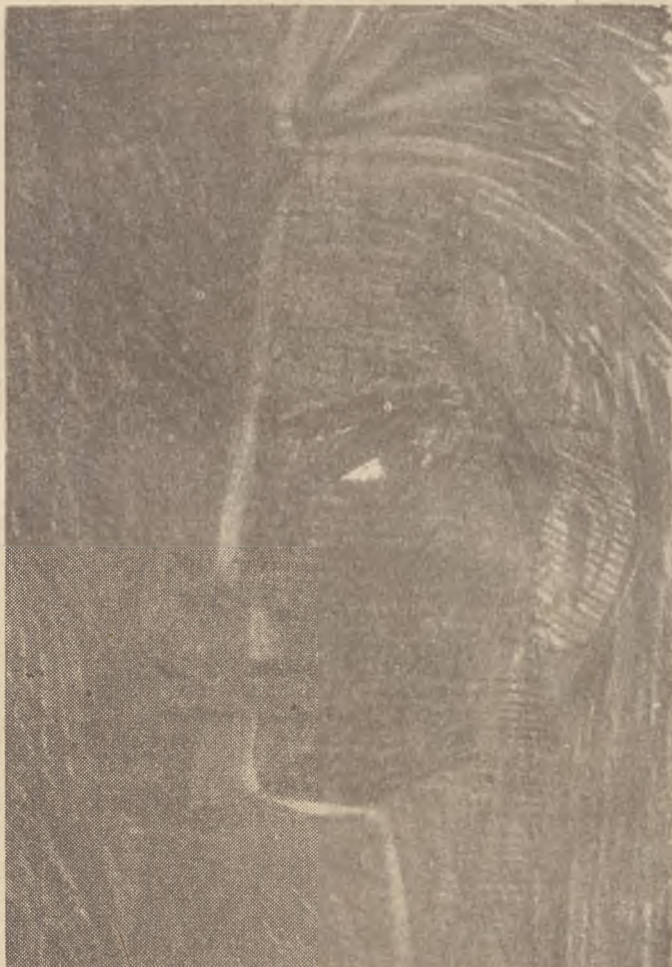
W nr 3 naszego pisma w artykule J. Kuczyńskiego pt. „Jak i jak z nim walczyć” uległ znieszczeniu wiersz I w spalecie I na stronie 2. Zdanie to powinno brzmieć: „...Kto ucieka od badania obiektywnych prawidłowości... jest skazywany na sprzeczne z duchem marksizmu ilustrowanie tez klasyków”.



NASZA WYSTAWA

ZBIGNIEW
KUPCZYŃSKI

Rysunki



W dziesięciolecie wrocławskich wyższych uczelni

7

maja 1945 roku wystartował z centrum płonącego Wrocławia samolot, uwożący hitlerowskiego gauleitera Hanke. Miasto podało się Armii Radzieckiej. W dwa dni później przybyła tam niewielka grupa naukowców polskich, z profesorem Stanisławem Kulczyńskim na czele, by przygotować uruchomienie wrocławskich wyższych uczelni.

Miasto paliło się jeszcze, co chwilę wybuchały miny. Z kompleksu budynków, w których mieściły się wrocławskie wyższe uczelnie — Uniwersytet i Politechnika — chyba ani jeden nie nadawał się do użytku. Większość leżała w gruzach; dobrze było, gdy czasem zachowały się wypalone mury. Pomiedzy ceglami poniewierały się książki i reszki zbiorów poszczególnych zakładów; co cenniejsze wywieziono z Wrocławia jeszcze przed obłożeniem. Trzeba było zaczynać od początku.

Polscy naukowcy, korzystając z niespodziewanej pomocy Polaków, uwolnionych z wrocławskich obozów koncentracyjnych, obsadzili te ze zrujnowanych budynków, które dawały nadzieję odbudowy; bronili ich przed rabunkiem i ciągle wzniecanymi pożarami. Później z Krakowa przybyło trzystu studentów, dla których zabrakło miejsca na krakowskich uczelniach. Tu, we Wrocławiu, miejsca było dosyć! Sami mieli zbudować uczelnie.

Utworzono straż akademicką i rozpoczęto akcję ratowniczą. Dokola bandy szabrowników rabowały co się dało, z gruzów buchał wstrętny odór rozkładających się trupów, roilo się od szczurów, nie było wody do picia. Pojawił się tyfus i czerwotka.

A jednak zapal i poświęcenie zdzialały swoje. Bez pomocy z zewnątrz zrobiono wiele. 15 listopada 1945 roku inaugurowano rok akademicki połączonych uczelni wrocławskich: Uniwersytetu i Politechniki. Nauka polska wceptała się mocno w zniszczone miasto, choć brakowało wszystkiego: pracowni-

ków nauki, pomieszczeń, wyposażenia, bibliotek. Mówił o tym na 52 posiedzeniu Sejmu ówczesny rektor Uniwersytetu i Politechniki, prof. Kulczyński:

„Bibliotekę uniwersytecką zastaliśmy w płomieniach. Dwa tygodnie płonął ten księgozbiór liczący 300 tysięcy tomów, podpalony zbrodniczą ręką. Otrzymałmy w spadku popiół. Bibliotekę instytucji naukowych, stare rękopisy i druki zastaliśmy ułożone w barykady u liczne zjedzone przez pleśń i zniszczone przez wilgoć. Muzea zastaliśmy w gruzach nie dopuszczających nawet myśli o odbudowie. Archiwum zrównane z ziemią pod budowę lotnisk bojowych. Budynki Uniwersytetu i Politechniki zostały zniszczone w 60%, piwnice założone bronią i materiałami wybuchowymi. Przyrzady precyzyjne zniszczone pod zawalonymi stropami klinik i zakładów naukowych. Lampy rentgenowskie posiekane seriami karabinu maszynowego. Wszystko, co kruche — zniszczone, wszystko, co metalowe — zarte przez rdzę. Aby uruchomić uczelnie, musieliśmy usunąć nieprawdopodobną ilość gruzu, usunąć z górą 350 ton materiałów wybuchowych, pokryć dachem 36 tysięcy m², wstawić 20 tysięcy m² szyb. Organizować trzeba było własnym przemysłem nie tylko pracę, pomieszczenia i wyżywienie, ale i bezpieczeństwo przed dywersją niedobitków hitlerowskich... We Wrocławiu nie ma spadku po Niemcach. Jest spadek po naszej dawnej przeszłości i kulturze i nowy dorobek pracy, który jest dziełem polskiego trudu.”

Tak było dziesięć lat temu. W odbudowie Wrocławia główną troską obok zabytków kultury otoczone wyższe uczelnie. Pionierski wysiłek nielicznych przestoczył się w wielką akcję, organizowaną przez państwo ludowe. Nie była to zresztą odbudowa. We Wrocławiu tworzone i tworzy się dalej nowy, wielki ośrodek nauki polskiej.

Przed wojną Wrocław miał Uniwersytet i Politechnikę. W roku akademickim 1939-40 studiowało tam 2677 osób. Obecnie we Wrocławiu istnieje 8 wyższych uczelni (Uniwersytet, Politechnika, Akade-

mia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza, Wyższa Szkoła Ekonomiczna, Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, Wyższa Szkoła Muzyczna, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego). Studentów jest 14.626, nie licząc osób studiujących na studiach wieczorowych i zaocznych. Wrocław stał się w ubiegłym dziesięcioleciu jednym z czołowych ośrodków uniwersyteckich w Polsce nie tylko ze względu na liczbę studentów (trzęcie miejsce po Warszawie i Krakowie), ale przede wszystkim dzięki rozkwitowi życia naukowego. I nie stało się to wyłącznie dlatego, że do Wrocławia przeniosła się ocalała po hitlerowskim pogromie grupa naukowców lwowskich, zasilać poważnie Uniwersytet (choćby wybitny ośrodek matematyki czy biologii). Niektóre uczelnie, zwłaszcza Politechnika, same musiały wykształcić swe kadry. W roku akademickim 1945-6 było na Politechnice 13 profesorów i 54 katedry; już w roku 1953-4 stosunek ten uległ radykalnej zmianie: 112 profesorów i 91 katedr. W tym samym czasie ilość studentów Politechniki wzrosła z 505 do 4 690 osób, a dziś po fuzji z Wieczorową Szkołą Inżynierską przekracza 6 000 osób.

We Wrocławiu dokonano gigantycznej pracy. Do dziś dnia trwa wielki wysiłek. Tak szybki rozwój pociągnął za sobą liczne trudności. Ciagle mało budynków, ciągle ciasno, ciągle za szczupłe laboratoria. Rosną potrzeby. Pną się w górę nowe budynki zakładów, domy studenckie. Idą z kieszeni państwowej coraz to nowe miliony.

Wrocławskie wyższe uczelnie są socjalistyczne nie tylko dlatego, że powstały wszystkie w Polsce Ludowej. Tutaj, po raz pierwszy w Polsce, stworzono zespołowe katedry; tutaj powiązano jak najściślej teorię naukową z praktyką. Wrocławski ośrodek naukowy związał się mocno z ziemią, która go żywi i zasilą młodzieżą: ze Śląskiem. Politechnika Wrocławska staje się bazą naukowa dla przemysłu dolnośląskiego:

współpraca z przemysłem zacieśnia się coraz bardziej. Akademia Medyczna, której wydział lekarski staje wśród czołowych w kraju, przyczyni się w ogromnej mierze do odbudowy i rozbudowy sieci służby zdrowia, farmaceutyki i stomatologii. Wyższa Szkoła Rolnicza wpływa bezpośrednio na rozwój spółdzielczości produkcyjnej na Dolnym Śląsku.

Jednym z najważniejszych osiągnięć nauki polskiej we Wrocławiu są prace wrocławskiej humanistyki w dziedzinie historii kultury materialnej tych ziem. Archeologia, etnografia, historia sztuki śląskiej, historia Śląska — oto dziedziny, w których wiele miejsca dla prac pionierskich. Tu właśnie, na ziemiach będących pod obcym panowaniem przez wiele setek lat, prowadzi się badania odsłaniające prawdę o Dolnym Śląsku i jego przytłumionej przez wieki polskości. Można tu dodać, że wrocławski ośrodek antropologiczny wysuwa się na pierwsze miejsce w kraju.

Trudno wyliczyć wszystkie osiągnięcia i sukcesy wyższych szkół wrocławskich. Wiele nazwisk ich profesorów zyskało sobie sławę nie tylko w Polsce. Niektórzy z młodych, którzy porwani żądzą wiedzy wygrzebywali w r. 1945 z gruzów na wpół spalone przyrzady laboratoryjne, i później słuchali z prawdziwym wzruszeniem pierwszego polskiego wykładu prof. Hirsztelda jako pierwsi studenci wrocławskiego Uniwersytetu czy Politechniki, obecnie sami wykładają w wielkich, dostojnych audytoriach. Do Wrocławia ślęga młodzież nie tylko z Dolnego Śląska: miasto powstające z gruzów promieniuje szeroko polską nauką i kulturą.

J. S.

Trochę o miłości

Wieczór był romantyczny wprost urzekający. A ja stałem cichutko na klatce schodowej. W ten sposób podsłuchałem — zupełnie niechcąc! — tę oto wzruszająco uroczą rozmowę.

„Ireczko, znowu wkuwasz? Rzuć te książki wreszcie! Spójrz jaki piękny wieczór. Przejdźmy się po mieście. Wstąpimy do Kaskada, potańczymy trochę... Tak bardzo chcę być z tobą... Iruś, kochasz?”

„Kocham”.

„O, ty moja! Bez ciebie żyć wcale nie mogę! Ja bym dla ciebie wszystkich! I w ogień i w wodę! Chcesz, dla ciebie w przepaść najgłębszą się rzucić!!!...”

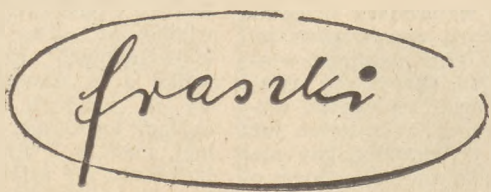
„Nie rób tego. Leczą, proszę, pomóż mi w nauce. Pomóż mi, najdroższy, bo mam zaległości...”

„Irka! Ja dla ciebie ginę wprost z miłości, a ty mi tu o jakiejś pomocy w nauce?! O nie, ja sobie pójdę! Pójdę i nie wrócić!!!...”

I musnąwszy fryzurę w mgłę wieczornej przepaści; szukać takiej, dla której mógłby — skakać w przepaść.



— Mamo, spójrz! Tatusi kupił tort!
— Ależ Jasiu, przecież to jest makieta ostatniego projektu tatuśka.
wg Krokodyla
Rys. Plusz



EBIGNIEW ZAPERT

O PEWNYM NA „ETAPIE ODWAGI”

Odważny niesłuchanie...
Odważa każde zdanie,

O PEWNYM KANDYDACIE NA STUDIA

Miał powiedzieć jak najuważęj
Bo miał wiedzieć pełne ręce
Lecz załamał ręce obie
Bo miał pustkę... w głowie.

ROMUALD KŁOSIEWICZ

NA FRASZKI ST. J. LECA

Pośród fraszek tak już bywa
Że się znajdzie i Lec-twa.

RYSZARD DOROBA

O DOMACH STUDENCKICH

Ten zmiesie najcięższe życia niewygody
Kto w akademiku mieszkał, gdy był młody.

O PEWNEJ STUDENTCE

Jest na uniwerku światłomiej, z wyboru...
Do twarzy jej w czapce białego koloru.

TADEUSZ GIGCIER

NA MŁODEGO PROZAIKA

Wyjechał w teren, w wiejskie zacisze
By ureszcie ujrzyć to, o czym pisze.

WASYL ARDAMACKI



— Bardzo prosto. Ja piszę o wojnie i mnie...
— A to, czy to nie wojna? Tylko tutaj, znaczą się, wróg jest wewnątrz. A może, nie rozumiecieście jeszcze, w czym rzecz? No to słuchajcie... Spółdzielnia powinna dać za kwartał trzy tysiące dwieście sztuk naczyń blaszanych. Cztery rodzaje. Tak? A daje, znaczą się z ledwością dwa tysiące...
— Dostę, towarzyszu Gorbylew! Mnie to nie a nie nie obchodził Rozumieć!

*

Okajemow z trudem opanował złość wywołaną tą wizytą i zastanowił się... Głupia historia. Jakiś Pyrikow... bańki... Przez takie głupstwo schronienie pod dachem Adalii Piotrowny przestało być pewne. Ten typ już, wie, że mieszka tu pisarz. Jutro może to komuś opowiedzieć... Rzeczywiście szkoda, ale nie wolno ryzykować. Trzeba wiać. Przewieźć się do bazy, wziąć wszystko co będzie potrzebne i zmienić skórę. Do diabła... A wszystko zepsuła ta gadająca baba...
— Wybaczcie, Grigorij Maksimowicz — w drzwiach ukazała się Adalia Piotrowna.
— No, już dobrze... — Okajemow zerknął na zegarek. — Za godzinę wyjeżdżam do Borska. Na kilka dni. Mam się spotkać z kolegą z pułku. A wy, jeśli możecie, nie wynajmujcie nikomu mojego kąta.
— Będę was oczekiwać, Grigorij Maksimowicz. Wróćcie jak najszybciej.
— Wróć we wtorek wieczorem...

Po wizycie w trzech spółdzielniach, Potapow zaczął przyznawać rację pułkownikowi Astanogowowi, który nie wierzył w skuteczność poszukiwań buchaltera. W istocie u Wolskiego mógł być prawdziwy buchalter, a nawet jeżeli się go odnajdzie, nie to nie da. Gdy zaś ktoś inny udawał buchaltera, to w spółdzielni nie ma go co szukać. Dwa tylko szczegóły skłoniły w końcu Astanogowa do wszczęcia poszukiwań. Może dywersant rzeczywiście ukrył się w spółdzielni? A jeżeli w żadnej spółdzielni nie ma buchaltera, który w ubiegły czwartek był u Wolskiego wtedy można wyclenić niechętą pewny wniosek, że w godzinach przyjęcia deputowanego był właśnie ten, kogo poszukują.

I oto Potapow znalazł się w jeszcze jednej spółdzielni wyrobów metalowych. Podszedł do drzwi, na których widniała tabliczka: „Dyrektor G. G. Pyrikow”. W dużej hali, która mieściła i pokój dyrektora, panował taki hałas, że nie wiadomo było jak zacząć rozmowę.
— W jakiej sprawie? — krzyknął Pyrikow.
Potapow milcząc podał mu swoją legitymację. Dyrektor zbliżył i przetknął powietrze.

— Muszę porozmawiać z waszym buchalterem — powiedział pochylając się nad stołem, aż do twarzy Pyrikowa.
— Ma zwolnienie lekarskie — rwącym się ze strachu głosem odpowiedział Pyrikow.
— Dawno?
— Trzeci dzień... Ale ja wszystko rozumiem. Możliwe, że popełniliśmy jakiś błąd. My...
— Dajcie mi jego adres domowy — przerwał Potapow.

*

Okazało się, że buchalter Tiulew jest zupełnie zdrow. Od razu opowiedział o clem-nych machinacjach dyrektora spółdzielni i uprzedził, że majster Gorbylew chodził gdzieś skarżyć się na dyrektora. Właśnie z tego powodu Tiulew postanowił „zachorować”, obawiając się, że Pyrikow zmusi go do podpisania fałszywych dokumentów, aby dopełnić fałszerstwo.
— U kogo był Gorbylew?
— Powiedział, że pójdzie do jakiegos wielkiego człowieka.
— Gorbylew jest teraz w pracy?
— Jak to w pracy? Pyrikow go zwolnił.
...Domek majstra Gorbylewa, sąsiadujący z domkiem Adalii Piotrowny Gurko, to-nął w krzakach bzu. Potapow ledwo zdołał odsukać na nim numer.

W ciemnej sieni, na oślep odnalazł drzwi i zapukał. Po chwili ciszy odezwał się męski głos:
— Proszę wejść. Kto tam?
Majster przedstawił się wychodzącemu na spotkanie Gorbylewowi.
— A, wy w sprawie tych figlarzy z naszej spółdzielni?
— O tym później, a teraz Kirile Jewgieniewiczu, chciałem się dowiedzieć, czy by-łście w ubiegły czwartek u deputowanego do Rady Najwyższej, towarzysza Wol-skiego?

— W czwartek? U deputowanego? — Gorbylew patrzył to na Potapowa to na żonę, nie nie pojmując. Nagle twarz mu zmarmotniała. — Znaczą się, on do tego jest jeszcze deputowanym?
— Kto?
— Kto, kto! Pisarz, który mieszka u sąsiadki. — Gorbylew przez okno wskazał sąsiadki dom. — Tak, byłem, znaczą się, u niego. Byłem. Ale on mnie wypędził. To wszystko.
— Czekajcie. Jak się nazywa ten wasz pisarz?
Gorbylew machnął ręką.
— A kto go wie? Wcale nie chcę wiedzieć. Udaje prostego, wpakował spodnie w buty, a do ludzi czuje wstręt. Też mi profesor!
— Tak, tak U profesora Wolskiego w radzie miejskiej nie byliście?
— Nie. Nie przyszło mi to do głowy. To znaczą się, was też nasze wieloryby nie interesują? Albo jeżeli wieloryb jest dyrektorem to wszystko idzie gładko?
— Nie martwiecie się, Kirile Jewgieniewiczu... — Potapow wyrwał kartkę z notesu i napisał na niej numer telefonu. — Zadzwońcie jutro rano pod ten numer tam was od razu przyjmą i zrobią wszystko co trzeba. A teraz wybaczcie, muszę już iść...
— Zrobili? — zapytał patrząc nieufnie na kartkę Gorbylew. — No cóż, spróbujemy. Potapow wyszedł na ulicę i wsiadł do auta. Szofer włączył silnik.
— Zaczekaj, Kola, daj pomyśleć...
Patrzył przed siebie wyjeżdżając pomieć. Jakiegoś zdanie wypowiedziane przez Gor-bylewa podczas rozmowy ledwo dotarło do jego świadomości i przesłiznęło się jakoś obok. Starał się uzmysłować sobie po kolei całą rozmowę i przypominał wresz-cie dane, które go zainteresowały: „Udaje prostego — spodnie w butach”.

— Kola, ja jeszcze wstąpię do tego domu...
Wsiadł z wozu i poszedł w stronę domu Adalii Piotrowny Gurko, obmyślając po drodze pretekst na usprawiedliwienie swoich odwiedzin u pisarza.
Adalia Piotrowna weszła na podwórko białe. Widząc wchodzącego przez fur-tkę Potapowa, pomyślała, że zjawił się jeszcze jeden gość do Okajemowa i zdecy-dowanie wyszła mu naprzeciw.

— Chciałem się zobaczyć z pisarzem, który u was mieszka.
— Z Grigorij Maksimowiczem?
— Tak.
— Jesteście jego znajomy?
— Pisarza, można powiedzieć, znają wszyscy jego czytelnicy, — uśmiechnął się przyjaźnie.
— Wyjechał — odpowiedziała niechętnie po chwili milczenia.
— Kiedy?

(dalszy ciąg nastąpi)

Pan nie wie kim ja jestem!

Jan Kott swym felietonowym zwyczaje-m „objechał” na łamach „Przeglądu Kulturalnego” sztukę Leona Kruczkow-skiego pt. „Odwiedziny”.

W numerze 44 tego pisma odezwał się autor sztuki. No cóż, wolno mu. W liście do redaktorów „Przeglądu” pisał: „Felietonisty do omieszczenia treści kiepskiej sztuki. Nic w tym nadzwyczajnego. Wolno mi. Protestowałem przeciwko mylnemu odczytaniu przez Kotta zamierzeń autora. Zamierzeń autorskich nikt nie przeniknie. W tej mierze polemizować — też mu wolno.”

Tylko, że lista do redakcji nie napisał Leon Kruczkowski — autor „Odwiedziny”, ale Leon Kruczkowski — członek Prezydium Rady Kultury i Sztuki, której organem jest „Przegląd”. Z tej to pozycji ganił pismo i Kotta, powołując się na autorytet Rady i delikatnie dając

do zrozumienia: „Pan nie wie kto ja je-stem”.

Dialekt błąd strach, który stał się za-pewne udziałem Jana Kotta — i nam się udzielił.

Zrobiłmy rachunek sumienia. Swiętego czasu zamieszciliśmy karykaturę m. n. Sokorskiego, na której miał on ręce większe niż naprawdę. A min. Sokorski to członek rządu kraju, w którym ukazuje się PO PROSTU. Błada nam. Krytykowaliśmy min. Rapackiego. Ditto...

Rachunek sumienia, który zrobił nasz zespół był długi i ciężki. Ostatecznie zrezygnowaliśmy ze skrytykowania na łamach pisma naszej gończyi przypomniałszy sobie, że jest ona członkiem Komitetu Blokowego domu, w którym miesi się redakcja, tudzież aktywistką Ligi Kobiet, do której należy nasz zastępca naczelnego redaktora.

J. U.

Niepokojący sygnał

Studenti Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie: Joanna Kulmowa, Zygmunt Hübner i Bronisław Pawlik otrzymali jednobrzmiące pisma podpisanie przez dziekana Wydziału Reżyser-skiego PWST Erwina Axera. Pisma zawiadamiają adresatów, że zostali skreśleni z listy studentów i mają natychmiast zwrócić legitymacje.

Wszyscy troje są studentami ostatniego roku. Joanna Kulmowa zrobiła warsztat reżyserski w czerwcu br. wystawiając jednoaktówkę Merimego w sali Energetyków w Warszawie. Warsztatem Hübnera i Pawlika jest „Cien bohater” O’Casey’a, grany obecnie w Teatrze Współczesnym w Warszawie.

Motytem skreślenia jest niezłożenie przez studentów w terminie prac z seminarium dramatycznego prof. Jerzemu Kreczmarowi.

Formalnie Szkoła ma rację. Na jednym roku Wydz. Reżyserskiego studiuje

czwerek studentów. Przy skreśleniu trzech, rocznik został piątkowo roz-wiązany. Wszyscy troje od dawnąszą dożyłymi aktorami i grają od kilkulat w teatrach państwowych. I tu należy stwierdzić: jeśli troje ludzi znanych z obowiązkowości na terenie teatru, zaniedbuje swą pracę na pewnym odcinku w Szkole, to przyczyną takiego lekceważenia nie leżą tylko w nich same. Leżą w równej mierze w atmosferze pracy na Wydz. Reżyserskim PWST, wegetującym pod zmieniającym się co roku p. o. dziekanem. Czy nie zwraca uwagi fakt, że prof. Axer podpisał wspomniane pisma na kilka dni przed swym ustąpieniem ze stanowiska dziekana Wydz. Reżyserskiego, stanowiska obecnie nie obsadzonego przez nikogo?

Sprawa Kulmowej, Hübnera i Pawlika powinna stać się sygnałem do zbadania systemu wychowawczego, systemu nauczania, pracy politycznej i atmosfery panującej w PWST w Warszawie. (Ga)

„Nasza uczelnia” — milusińska i bojowa

Otwieramy pierwszy powakacyjny numer organu Politechniki Wrocławskiej i co widzimy?

Pierwszą stroną zdobi sześć zdjęć rektora i prorektorów wiananych w tekst artykułu o treści arcyciężkiej — bowiem zawierającej swoiste sprawozdanie z inauguracji roku akademickiego. Rzecz zapatrzona jest tytułem: „Rok akademicki uważam za rozpoczęty” z odnośnikiem: „Słowa rektora prof. Dionizego Smoleńskiego”.
Heraklit powiedział „Wszystko płynie”. Kopernik: „Ziemia się kręci”. Napoleon: „40 wieków patrzy na nas”, a rektor Smoleński: „Rok akademicki uważam za rozpoczęty”. Grunt to ciągłość w historii ludzkości.

Myślęcie ludzie, że pod tytułem i sześcioma arcyciekawymi zdjęciami star-szych panów (przeważnie w okularach) znajduje się nudne, oficjalne sprawozdanie z uroczystości. O nie! To nie ten etap. Dziś potrafiamy uatrakcyjnić. Rzecz ma zgrabną formę dialogu. Ciekawieści? Oto próbka.

— A właśnie, że nie. Uroczystość inauguracji roku akademickiego to nie akademika „ku czci”. W prezydium zasiadają z urzędu tylko ojcowie uczelni. Rektor i prorektorzy. A ty pewno nawet nie znasz nazwisk naszych prorektorów?

— Jak to nie znam?! Prof. Iwaszkiewicz, prof. Kisiel i...
— I...? A nie widzieli! Ale chyba znasz osobiste profesora Stelnhauza?

— Matematyka? Nie, nie znam.
— Nie znasz? Niemożliwe! Za to on ciebie zna. Kiedyś podobno powiedział do swoich asystentów: panowie, nie można studentom macie wody w głowie! Sądę, że ciebie miał na myśli... A...
— Nie wiem. Nie wiem. Nie znam. —
— Nie znasz? Widać, że musisz zacząć czytać „Studentki Savoir Vivre” w „Naszej Uczelni”.

— Chyba w „Przekroju”.
— W „Przekroju” także. Ale „Nasza Uczelnia” też pisze na ten temat. Wracając do inauguracji, grubo się mylił, sądząc, że były nudy. Prorektor Kuczyński odczytał na początku...
— Prorektor? Prof. Kuczyński? Kierownik Katedry Chemii Organicznej?
— Prof. dr Kuczyński jest od lat rektorem naszej Wszechnicy Szkoły Inżyn-

nierskiej. W związku z planowanym połączeniem WSI z Politechniką został mianowany prorektorem do spraw studium wieczorowego. Tak będzie się nazywała dzisiejsza WSI po połączeniu z nam”.

Teraz to przynajmniej wiemy, że kolegium redakcyjne ma zapewnione dobre stopnie z egzaminów.

Przewracamy kartki. Ci, którzy do-brną do str. 6 będą mogli przeczytać artykuł pt. „Rozwiane nadzieje, czyli słów kilka o dyscyplinie studiów” celnego pióra mgr inż. Z. Lawrowskiego. Podajemy jego krótkie choć adekwatne streszczenie.

„Mielicie nadzieję na rozluźnienie dys-cypliny studiów. Nic z tego. Została ona zarządzaniem niestrawną zaostrożoną. Na tym bym zakończył, gdyby nie to, że chce pobudzić do myślenia o dyscy-plinie. Student przychodził na uczelnię dozwolnioną. Obowiązuje nie dyscy-plina. A więc dla każdego dogłębnie myślącego człowieka jest jasne, że musi się jej podporządkować. Niektórzy mimo to bumelują. Otrzymują kary, a potem przeklinają dyscyplinę zamiast siebie. Mści się tu brak zrozumienia przepisów. Istotą dyscypliny jest to, że trzeba się do niej stosować. Dyscyplina. Dyscypli-na. Dyscyplina!!!” Teraz już wiadomo, Dyscyplinie trzeba się podporządkować bo ona jest. Mgr inż. Lawrowski podsumowawszy tak dogłębnie, intelektualnie i w sposób pobudzający do myślenia skomplikowany problem, który był przedmiotem wielu prasowych dyskusji, schodzi z łamów gazetek. Nie zawsze między złym kapralem, a złym pedago-giem istnieją duże różnice.

W dalszym ciągu szukamy w „Naszej Uczelni” materiałów krytycznych. Stu-dentów gani się kilkakrotnie. (Tu brud, a tam brak dyscypliny). Oczywiście na koniec natykamy się na krytykę „władz uczelni” w osobie urzędnika kwestury, który bezdusznie załatwił adwokat B. Jeszcze sport i z żalem znamy numer. Bo nie masz to jak bojowy organ studencki, wyrażający opinie młodzieży, śmiały, krytyczny i zgrabnie pisany. Szkoda jednak, że wyziera z niego tylko scalone w jeden obraz oblicze rektora i jego pięciu zastępców.

Jur.

Takie czasy

Kilka dni temu przypomniałem sobie historię mecenasa K. głośną ongiś w Łodzi.

Mecenas K. (n. b. naonczas członek PSD) w 1947 r. z wielkim szumem wybierał się wraz z rodziną nad morze. Wynajął domek na Wybrzeżu, przewiózł ciężarówką swoje rzeczy i urządzenie mieszkalne, potem wrócił po rodzinę, która również wyjechała na Wybrzeże. W kilka dni później gruntem wiadomo-ści, że mecenas K. wraz z liczną fami-lią, betami i meblami uciekł kutrem do Szwecji. Stamtąd wysłał listy do przyjaciół i słuch o nim zaginął.

Wydarzenie to przypomniało mi się w związku z notatką niedawno zamieszczo-ną w emigracyjnym „Dzienniku Pol-skim” Donosi ona m. in.: „Referent prasowy SPK i członek PPS dr Adam Szczypiorski wraz z żoną Jadwigą, niko-

go nie uprzedzając, wyjechał nagle do Polski. Trzy tygodnie temu Szczypiorski pojechał z żoną do Holandii by spotkać się z synem Andrzejem, literatem wyraź-nie komunistycznym, który przyjechał tam z kraju. Przed kilku dniami Szczypiorski powrócił do Anglii bez żony i oświadczył swym przełożonym w SPK, że jedzie jeszcze na trzy dni do Pary-za by pożegnać się z synem. Tymcza-sem jak się okazuje, spakował wszyst-kie swoje rzeczy i nie uprzedzając niko-go opuścił Anglię. W śróde nadeszły od Szczypiorskiego z Paryża listy do jego gospodyni oraz CKW PPS, w którym za-wiadał o swojej decyzji wyjazdu do kraju”.

Okazuje się, że przez minione lata wle-cie się zmienilo. Zmienili się mianowicie, kierunku.

Jer.

KALENDARZ „ISKIER” ROK 1956

— informator i doradca każdego chłopca i dziewczyny przyniesie swoim czytelnikom szereg ciekawych pozycji, a mianowicie:

- Poradnik aktywisty ZMP
- Rozmowy o młodości
- Jakie książki warto czytać
- Magazyn rozmaitości
- My dziewczęta między sobą i wiele innych.

Kalendarz zostanie wydany w dwóch wersjach — dla miasta i wsi.

CENA zł. 6.—

Przedpłaty przyjmują w miastach — kolporterzy w zakładach pracy, na wsi — listonosze i placówki pocztowe. K 8390-1

„...Postarcie się tylko o zwiekszenie Waszego nakładu. Kio-ski otrzymują dostawnie po kilka egzemplarzy Ludzie wyrzucają so-bie z rąk każdy numer PO PROSTU Szczęśliwy nabywca wy-piżęca znajomym i dopilnowuje zwrotu...” — pisze Zenon Wiński ze Stupsk. Z całego kraju otrzymujemy tysiące podobnych sygnałów, lecz odpowiedź na nie jest tylko jedna:

Garancję otrzymania PO PROSTU daje tylko PRENUMERATA POCZTOWA Prenumeratę należy opłacać w urzędach pocztowych miejsca zamieszkania JUŻ TERAZ

za I kwartał 1956 — 4 zł 20 gr
za I półrocze 1956 — 8 zł 40 gr
za cały rok 1956 — 16 zł 80 gr